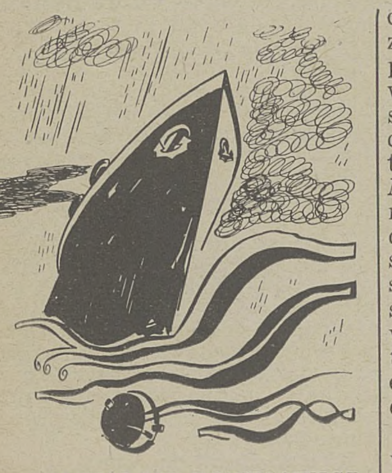
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 8-go lipca 1944r.* **Rok VI. Nr. 27**

BAŁTYK I PRZYSZŁA EUROPA



rys. ZDZISŁAW BORYSOWICZ

POLSKA ŚWIADOMOŚĆ MORSKA PRZED WOJNĄ I W CZASIE WOJNY

Jak Polska długa i szeroka rok rocznie w czerwcu manifestowaliśmy naszą wolę nierozerwalnego związania się z morzem. Dostęp Polski do morza był dla każdego z nas symbolem prawdziwej i pełnej wolności Polski. Nie wszyscy wiedzieliśmy co i jak z tym dostępem do morza należy robić, ale istniało zdrowe, instynktowne zrozumienie znaczenia morza dla naszej przyszłości.

Coraz powszechniejsze przy tym było zrozumienie, że "dostęp do morza" to nie tylko większy lub mniejszy skrawek wybrzeża i praca na nim, ale to — wyjście na morze i praca na morzu, to wykorzystanie dróg i bogactw morza, to własna marynarka handlowa i własne rybołóstwo morskie.

Coraz powszechniejsze też było przeświadczenie, że dostępu do morza i wolności morskiej — trzeba bronić, że trzeba posiadać odpowiednio silną marynarkę wojenną i lotnictwo morskie. Pod tym względem szerokie rzesze obywateli wykazały większy od kierowników państwa zmysł polityczny, dając tego konkretny dowód w ofiarach materialnych na rozbudowę marynarki wojennej wówczas, gdy program tej rozbudowy do minimalnych, koniecznych rozmiarów nigdy nie został wprowadzony w życie przez czynniki odpowiedzialne za obronę państwa.

We wszystkich dziedzinach pracy na wybrzeżu i na morzu osiągnęliśmy poważne, niekiedy imponujące wyniki. Było nam jedynie bardzo ciasno nad Bałtykiem. Wąski skrawek wybrzeża nie wystarczał na potrzeby gospodarcze, ani nie mógł zapewnić bezpiecznych baz dla marynarki wojennej i lotnictwa morskiego.

To też podczas wojny powszechnie zostało wśród nas uznane, że polskie cele wojenne obejmują nie tylko odzyskanie utraconego skrawka wybrzeża i wcielenie Gdańska do Rzeczypospolitej, ale równocześnie — rozszerzenie naszego dostępu do morza przez przyłączenie Prus Wschodnich i choćby reszty wybrzeża kaszubskiego, tak, by uzyskać wybrzeże od Królewca co najmniej do Kołobrzega. Co do tej sprawy istnieje wśród nas powszechne zrozumienie. Istnieje wszakże inne zagadnienie, z którego ważności nie wszyscy zdajemy sobie sprawę.

BAŁTYK JAKO ZAGADNIENIE OGÓLNO-EUROPEJSKIE

Położenie geograficzne Bałtyku jest tego rodzaju, że Niemcy mając w ręku kanał Kiloński i łatwość zagarnięcia kontroli nad cieśninami duńskimi, mogą w razie wojny odciąć Bałtyk od świata, przekształcić go na swe morze wewnętrzne i wykorzystywać dla swych własnych celów gospodarczych i militarnych. Dopóki Bałtyk nie zostanie otwarty i *Royal Navy* nie będzie miała zapewnionego wstępu nań — dopóty nie będziemy w stanie obronić ani naszego dostępu do morza, ani naszej wolności morskiej, zaś narody skandynawskie i bałtyckie znajdować się będą pod naciskiem politycznym, a narody środkowo-europejskie pod naciskiem gospodarczym i politycznym Niemiec.

Widzieliśmy zawsze naszą własną sprawę jak najściślej pojętego dostępu Polski do morza, nie dostrzegaliśmy na ogół, poza nielicznymi znawcami zagadnień bałtyckich, znacznie szerszej, międzynarodowej sprawy — zagadnienia Bałtyku jako całości, jego gospodarczego wykorzystania i militarnego zabezpieczenia.

Warto tu przypomnieć, że "Polska Walcząca" była pierwszym pismem, które poruszyło sprawę Bałtyku jako zagadnienia międzynarodowego o ogólno-europejskim znaczeniu, oraz położyło nacisk na konieczność zainteresowania Wielkiej Brytanii Bałtykiem. Już w listopadzie 1941 roku "Polska Walcząca" wydrukowała serię trzech artykułów Andrzeja Doddiesa pod wspólnym tytułem "Brytyjsko-polska przyszłość Bałtyku". Dopiero po tych artykułach, pod koniec grudnia 1941 roku, przyszły uchwały Rady Morskiej w tej sprawie, a rok 1942 przyniósł artykuły — Adama Pragiera w *"La France Libre"*, Rowmunda Piłsudskiego w "Bellonie" i Henryka Strasburgera w "Nowej Polsce", oraz broszurę Rowmunda Piłsudskiego *"Baltic, Britain and Peace"*. Wszystkie te prace z większymi lub mniejszymi odchyleniami przyjmowały tezy "Polski Walczącej" o konieczności otwarcia Bałtyku i zapewnienia flocie brytyjskiej wstępu na jego wody, oraz o konieczności ścisłej współpracy politycznej, gospodarczej i wojskowej Wielkiej Brytanii z Polską, szeroko i silnie rozsiadłą na wybrzeżu Bałtyku.

SPRAWA OTWARCIA BAŁTYKU

Zorganizowana przed paru miesiącami w Londynie Wystawa Morska odbyła się już pod hasłem: "Wolność Bałtyku decyduje o pokoju europejskim" oraz miała na celu przekonanie Brytyjczyków o politycznym, gospodarczym i wojskowym znaczeniu Bałtyku — tego Morza Śródziemnego Północy, przez które nie wiedzie wprawdzie droga do Indii i Australii, ale przez które prowadzi szlak morski do środkowej i północno-wschodniej Europy oraz, które jest podstawą zarówno militarnej potęgi Niemiec, jak i ich zdolności do wywierania ekonomicznego nacisku na mniejsze kraje środkowo — europejskie. Niedostępny dla brytyjskiej marynarki wojennej i znajdujący się na skraju zasięgu, lub zgoła poza zasięgiem lotnictwa brytyjskiego, Bałtyk, praktycznie biorąc, jest wewnętrznym morzem niemieckim, wylęgarnią niemieckiej siły na morzu i bezpiecznym szlakiem handlowym łączącym Niemcy z krajami skandynawskimi. Panowanie Niemiec na Bałtyku to stała groźba wisząca nad tymi krajami.

Żadne z państw rejonu bałtyckiego, ani też wszystkie one razem wzięte, nie mogą zrównoważyć siły Rzeszy na morzu bez pomocy z zewnątrz. Pomoc ta musi im być zapewniona. Celem militarnego zabezpieczenia Bałtyku należy: pozbawić Niemcy floty wojennej i lotnictwa, zapewnić Wielkiej Brytanii i jej Sojusznikom panowanie nad wrotami Bałtyku, wreszcie zapewnić Wielkiej Brytanii posiadanie na Bałtyku sojusznika, rozporządzającego dostatecznymi siłami morskimi oraz bezpiecznie i dogodnie położonymi bazami.

ROLA POLSKI NA BAŁTYKU

Zacznijmy od tego ostatniego zagadnienia. Sojusznikiem takim nie może być żadne z państw skandynawskich lub bałtyckich, są one bowiem krajami zbyt małymi. Nie może nim być również Rosja, kraj wybitnie lądowy, zainteresowany zagadnieniami nie tylko Europy, ale i Azji. Inaczej jest z Polską, która choć nie posiada wielkich tradycji morskich, jednak odzyskawszy zaledwie niewielki skrawek wybrzeża, w latach pokoju i podczas wojny wykazuje wielkie zrozumienie dla spraw morskich i posiada wszystkie dane, by zostać jednym z narodów przodujących w walce i pracy na morzu. Polska, szeroko i bezpiecznie rozparta na południowym wybrzeżu Bałtyku, posiadająca dostatecznie liczne bazy morskie i lotnicze oraz rozbudowaną przy pomocy Wielkiej Brytanii marynarkę wojenną — jest tym Sojusznikiem, którego Wielka Brytania potrzebuje, by kontrolować Bałtyk i nie dopuścić do ponownego opanowania go przez Niemcy.

"GIBRALTAR BAŁTYCKI" I LIKWIDACJA NIEMIECKIEJ SIŁY MORSKIEJ

Przechodząc z kolei do sprawy otwarcia Bałtyku należy stwierdzić, iż Kanał Kiloński musi być Niemcom odebrany.* Tak jak nad bramą Morza Śródziemnego czuwa Gibraltar, tak nad wszystkimi bramami Bałtyku czuwać muszą bazy morskie i lotnicze, znajdujące się w rękach Wielkiej Brytanii i jej Sojuszników. Winny one powstać na odebranych Niemcom wyspach Helgoland i Sylt, oraz na wyspach Fryzyjskich, na lądzie stałym na północ od Kanału Kilońskiego, na kilku wyspach w cieśniniach duńskich, wreszcie na Bornholmie i Rugii. Bazy te nie tylko panowałyby nad bramami Bałtyku, ale równocześnie trzymałyby w zasięgu kilkunastominutowego lotu Hamburg, Bremę, Szczecin i pozostałe porty niemieckie, z góry skazując na niepowodzenie nową próbę niemiecką wywołania zawieruchy światowej.

Ostatnim wreszcie środkiem, zmierzającym do obezwładnienia Niemiec na morzu, powinno być pozbawienie Rzeszy prawa posiadania floty wojennej i lotnictwa morskiego. Flota niemiecka winna być podzielona pomiędzy Sojuszników, przy czym Polska, która bierze udział w wojnie morskiej w stopniu znacznie większym, aniżeli wynikało by z jej możliwości morskich, uzyskanych w Traktacie Wersalskim — powinna otrzymać znaczny udział w tym podziale, który ułatwiłby stworzenie naszej siły militarnej na morzu.

* Por. Artur Reyman: "Wolność Bałtyku" w nr. 47 "Polski Walczącej" z ub.r.

ROZBROJENIE NIEMIEC Z INSTRUMENTÓW NACISKU GOSPODARCZEGO

Tak przedstawia się sprawa zlikwidowania panowania militarnego Niemiec na Bałtyku i przeszkodzenia im w ponownym opanowaniu tego rejonu. Ale Niemcy wyciągały również olbrzymie korzyści gospodarcze ze swego położenia nad Bałtykiem. Posiadając porty na Bałtyku i na Morzu Północnym oraz dużą flotę handlową, używały ich jako narzędzia nacisku gospodarczego na wszystkie mniejsze państwa środkowo-europejskie.

Handel zagraniczny tych państw był stale w znacznej zależności od Niemiec. W roku 1937 udział Niemiec w handlu zagranicznym Bułgarii wynosił: w imporcie 58%, w eksporcie 47%, Węgier — 44% i 41%, Jugosławii — 42% i 53%, Rumunii 35% i 26%, Grecji — 30% i 40%, wreszcie Czechosłowacji — 19% i 31%. Tłomaczy się to nie tylko wysokim uprzemysłowieniem Niemiec, ale — przede wszystkim faktem, iż dzięki swemu położeniu geograficznemu, wykorzystując swą marynarkę handlową, porty i drogi wodne Niemcy stały się głównym pośrednikiem krajów środkowo-europejskich w ich handlu zagranicznym.

Polska dała przykład, że *można* i — *jak można* wyzwolić się spod tej gospodarczej przewagi Niemiec. Po zeszłej wojnie znajdowała się ona również w zależności gospodarczej od Niemiec. W 1922 r. udział Niemiec w handlu zagranicznym Polski był znacznie wyższy, aniżeli w handlu jakiegokolwiek innego kraju środkowo-europejskiego. Wynosił on w imporcie 47%, a w eksporcie aż 60%. To też w 1925 r. Niemcy sądziły, iż będą mogły załamać i podporządkować sobie gospodarczo Polskę i wypowiedziały nam wojnę celną. Dzięki powstającemu właśnie wówczas własnemu portowi w Gdyni i własnej marynarce handlowej, mogliśmy stopniowo przerzucić olbrzymią większość naszych zagranicznych obrotów gospodarczych na szlaki morskie. Doszliśmy do tego, iż 3/4 handlu zagranicznego Polski szło morzem. Polska nie tylko, że nie ugięła się w wojnie gospodarczej z Niemcami, ale niemalże całkowicie uniezależniła się od niemieckiego pośrednictwa. W 1937 r. udział Niemiec w imporcie i w eksporcie Polski wynosił już tylko 19%.

Ten przykład Polski wskazuje, w jaki sposób można wyzwolić państwa środkowo-europejskie spod zależności gospodarczej Niemiec. Niemcy muszą być pozbawione instrumentów nacisku gospodarczego. Niemiecka flota handlowa, po pozostawieniu pewnej ilości statków, niezbędnych dla własnych potrzeb Niemiec, winna być podzielona pomiędzy państwa sojusznicze, przy czym Polska powinna wziąć poważny udział w tym podziale, który winien ułatwić nam osiągnięcie niezbędnych dla naszych potrzeb gospodarczych 850.000 ton floty handlowej.

Niemcy winny być nadto pozbawione dochodów z portów i dróg wodnych. Handel zagraniczny Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i Bułgarii w takim stopniu, w jakim to będzie możliwe z punktu widzenia gospodarczego, winien być skierowany na polskie drogi wodne i kolejowe oraz porty polskie. Szczecin oraz niemieckie drogi wodne, obsługujące Czechosłowację, Węgry i Austrię powinny być odebrane Niemcom i zorganizowane pod zarządem międzynarodowym z udziałem Wielkiej Brytanii, Polski i krajów korzystających z tych urządzeń. W ten sposób dochody z niemieckich portów i dróg wodnych, zamiast zasilać machinę wojenną Rzeszy, mogłyby być obrócone na potrzeby gospodarcze i podniesienie stopy życiowej krajów środkowo-europejskich.

INTERESY WIELKIEJ BRYTANII NA BAŁTYKU

Wszystkie te zagadnienia gospodarcze, dotyczące Bałtyku i Europy Środkowej, mają wielkie znaczenie dla Wielkiej Brytanii. Jak już wspomnieliśmy, Bałtyk — Morze Śródziemne Północy, nie leży wprawdzie na drodze do Indii i Australii, prowadzi jednak przezeń droga do krajów środkowo-europejskich, których obroty gospodarcze są większe, aniżeli Indii i Australii razem wziętych. Tak w 1937 r. import Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i Jugosławii wyrażał się kwotą 610 milionów dolarów w złocie, wówczas gdy w tym samym roku cały import Indii i Australii wynosił tylko 559 milionów dolarów w złocie. Udział Wielkiej Brytanii w obrotach gospodarczych Środkowej Europy był przed wojną stosunkowo nieznaczny. Tak n.p. — w handlu zagranicznym Polski w 1937 r. wynosił tylko około 15%.

Również udział bandery brytyjskiej w obrotach portów bałtyckich był bardzo niski. Tak więc w obrotach portów polskiego obszaru celnego: Gdynia-Gdańsk, które łącznie były większe od obrotów wszystkich innych portów południowo-bałtyckich razem wziętych, bandera brytyjska zajmowała szóste miejsce, stanowiąc zaledwie 8% ogólnego tonażu odwiedzających je statków.

Widzimy więc, iż po wojnie dla handlu brytyjskiego i brytyjskiej bandery otworzą się wielkie możliwości pracy z portami południowo-bałtyckimi, a przez nie — z krajami środkowo-europejskimi.

* * *

Bałtyk ma dla nas olbrzymie znaczenie polityczne, gospodarcze i wojskowe. Obok jednak naszego własnego zagadnienia dostępu do morza, wolności morskiej i jej zabezpieczenia, istnieje szersze, międzynarodowe zagadnienie Bałtyku, który jest jedną z kluczowych pozycji w strukturze ładu i pokoju europejskiego. I tak jak zagadnienia naszego dostępu do morza, jego wykorzystania i zabezpieczenia Polska nie może rozwiązać bez współpracy z Wielką Brytanią, tak, naszym zdaniem, Wielka Brytania nie może rozwiązać zagadnienia Bałtyku bez współpracy z Polską. I dlatego w tej dziedzinie związani jesteśmy nierozerwalnym węzłem wspólnych interesów. Nie ma zdrowej i bezpiecznej przyszłości Bałtyku bez oparcia jej o współpracę polsko-brytyjską.

To też nie znajduję innego zakończenia tego artykułu, jak tylko powtórzenie ostatnich zdań napisanych na ten temat przed blisko trzema laty:

"Wielka Brytania musi panować nad wrotami Bałtyku, musi też mieć na tym morzu pewnego i silnego sojusznika w Polsce, szeroko i mocno opartej na wybrzeżu, silnej na morzu".

"Musimy być razem na Bałtyku. Razem — Wielka Brytania i Polska".

ANDRZEJ DODDIES

Szkic sytuacyjny

ROMMEL CONTRA MONTGOMERY

W dziejach wojen istnieją przykłady, że pewni dowódcy spotykają się raz po raz na różnych polach bitew, że ścierają się w rozmaitych okolicznościach. W tej wojnie generał Montgomery wpada po raz drugi na Rommla. Ścigał go w pustyni libijskiej, teraz natknął się na niego w Normandii. Rommel, jak donoszą źródła sojusznicze, objął bowiem osobiście kierownictwo walk w Normandii i przygotowuje się do zapasów z Montgomerym.

Doniesienia jakie nadeszły w ciągu soboty i niedzieli, 1-go i 2-go lipca, powiadają, że na froncie w Normandii, dokładniej zaś biorąc nad odcinkiem pod Caen, "panuje nastrój oczekiwania". Niemcy powiadają, że alianci zasileni zostali w ludzi i sprzęt i że gotują się do podjęcia ataku. Sojusznicy stwierdzają, że Niemcy nagromadzili spore ilości czołgów i że być może, odstąpią od dotychczasowej taktyki, która polegała na działaniu przy pomocy niewielkich ilości czołgów. Taktyka ta nie doprowadziła do niczego, nieprzyjaciel tracił spore ilości sprzętu, ale w terenie się nie posuwał. Obecnie, z chwilą wejścia Rommla do akcji, oczekiwać by należało nasilenia walk czołgowych a co za tym idzie, zbliżania się kryzysu w przeciągłych walkach pod Caen i nad rzeką Odon.

Wydaje się, że taka wielka bitwa z udziałem poważnych ilości sprzętu jest nieunikniona. Niemcy trzymali się uparcie odcinka pod Caen. Był to zawias /hinge/ obrony niemieckiej. Jeżeli on puści, linie niemieckie we Francji mogą się ukształtować inaczej.

Amerykanie postępują dobrze, oczyścili cały półwysep cherbourski aż po Cap de la Hague. Port w Cherbourgu będzie przypuszczalnie wcale szybko doprowadzony do ładu. Amerykanie pokazali co umieją w Neapolu, gdzie mimo poważnych zniszczeń w porcie, bardzo śpiesznie dokonano napraw i oddano port do użytku przez system pontonów rzucanych na zatopione statki — tworzenie, jednym słowem, molo portowych z pontonów. Podobnej metody zapewne użyje się częściowo w Cherbourgu, jakkolwiek tam warunki naturalne będą nieco przeszkadzały. Od czegóż jest jednak pomoc doskonałych oddziałów technicznych, znajdujących się "pod ręką".

Wydaje się, że port w Cherbourgu da znać o sobie za czas jakiś. Obecnie, ciężar walk przesuwa się na skrzydło brytyjskie, które wytrzymywało dotychczas największy nacisk.

KU FLORENCJI I LIVORNO

We Włoszech postępy armii sojuszniczych są dobre, cała linia znajduje się w ruchu. Marsz na Livorno i Florencję odbywa się w przewidzianym tempie. Ogłoszenie przez Hitlera Florencji miastem otwartym dowodzi, że linia niemiecka biegnie zasadniczo na północ od tego miasta. Obrona na linii Padu /Po/ wydaje się prawdopodobna. Ludzie, którzy byli we Włoszech w dobie zajmowania tego kraju przez wojska niemieckie powiadają, że pierwotny plan strategiczny Niemiec polegał na obronie linii Padu. Nie wiadomo jakie czynniki przeważyły szalę i zdecydowały walkę daleko na południe. W bilansie nie bardzo się to opłaciło. Armia niemiecka poniosła wielkie straty, straciła ogromne ilości sprzętu. Być może, że lepiej by się jej powiodło na linii Po.

Opanowanie Livorno będzie wielkim sukcesem, albowiem jest to doskonały port daleko na północy. Spezia stanowiłaby dalszy etap. Genua trzeci. Pochwycenie Genui stwarzałoby możliwości bardzo poważne: Genua to wstęp do działań na południu Francji. Stworzenie takiego kręgu byłoby wspaniałym posunięciem strategii sojuszniczej.

NA MIŃSK I BARANOWICZE

Armie sowieckie podjęły uderzenia na szerokim odcinku. Po wstępnych atakach na froncie fińskim przyszło istotne natarcie na Borysów, Mińsk. Potwierdziły się przewidywania komentatorów amerykańskich — jak major George Fielding Eliot — że Rosjanie przejdą do akcji w chwili natężenia walk na Zachodzie. Tak się stało. Sąd podobny wypowiadano również w Londynie i był on całkowicie logicznie uzasadniony: Rosja chce jak najszybciej wygrać wojnę i wejść do Berlina.

Postępy sowieckie są znaczne. Raz jeszcze strategia sowiecka okazała się przytomna i elastyczna. Raz jeszcze zasługuje ona na uznanie i pochwałę. Niemcy głosili, że uderzenie sowieckie pójdzie w kierunku na pola naftowe Rumunii. Tymczasem poszło ono daleko na północy. Co nie znaczy, ażeby w pewnym momencie Rosjanie nie mieli uderzyć w inny klawisz — rumuński. Strategia sowiecka gra bowiem dzisiaj na froncie wschodnim jak na olbrzymim instrumencie — raz jeden, raz drugi odcinek wchodzi w akcję. Metoda taka daje doskonałe wyniki.

Należy liczyć się z dalszymi postępami Rosjan, jak i przechodzeniem do działań na nowych odcinkach. Trudno powiedzieć jak daleko armia sowiecka zepchnie Niemców, ale jest chyba jasne, że chciałaby ona w czasie lata i września uzyskać takie stanowiska, z których mogłaby zadać w ciągu zimy ciosy ostateczne. To jest przypuszczalnie cel strategii sowieckiej i bynajmniej nie są przechwałką powiedzenia gazet moskiewskich, że "celem tej ofensywy jest Warszawa".

Jak strategia sowiecka wykona te swoje zamiary — nie wiemy. Cel jest postawiony, zasoby są olbrzymie, pomoc lotnictwa amerykańskiego rośnie. Siły samego lotnictwa czerwonego są co raz sprawniejsze, przechodzi ono do akcji co raz częściej. Rosja podejmie przypuszczalnie największy wysiłek tego lata, ażeby uzyskać swoje cele. Ten wysiłek zasługuje na uwagę, na szacunek. Wydaje się, że armia sowiecka nauczyła się w tej wojnie niesłychanie wiele, że sztab sowiecki jest coraz lepszy, że myślenie strategiczne jest na najwyższym poziomie. I to właśnie każe przypuszczać, że Rosję stać jeszcze na wiele wysiłków, że ma ona żelazną wolę dokonania tych zrywów i że armia niemiecka wkracza w okres zdecydowanie "czarny". Walczy ona w terenie "pomyślniejszym" i korzystniejszym, ale to prawie i wszystko.

FINOWIE PODDALI SIĘ RZESZY

Przewidywania na temat Finlandii nie sprawdziły się. Polityka fińska dokonała w ostatniej chwili zwrotu, który nie wyjdzie jej chyba na dobre. Wydawało się — czemu dawałem wyraz w jednym z poprzednich rozbiorów — że Niemcy "puścili" Finlandię, pozostawili ją własnemu losowi. Być może nawet, że takie zamiary Rzesza miała. Ale oto w pewnej chwili w obliczu sytuacji, która przypominała nieco sytuację Włoch przed upadkiem Mussoliniego — Rzesza zastosowała tę samą interwencję co we Włoszech. Wojska niemieckie obsadziły Finlandię. Dietl pojawił się w Finlandii, wziął kraj w ręce i zginął w samolotowym wypadku. Rząd fiński uległ naciskowi Ribbentropa i skapitulował. Parlament nie był pytany o zdanie.

Wydaje się, że decyzja fińska jest złą kalkulacją. Niemcy nie dadzą temu krajowi tej pomocy jaką obiecali, albowiem nie mają odpowiedniej ilości wielkich jednostek. Dwie czy nawet trzy dywizje pancerne mogą załatać sprawę na czas jakiś, ale nie uratują frontu. Pięć czy sześć czy nawet siedm dywizyj nie utrzyma frontu.

Dywizje te wstrzymają może Rosjan na kilka tygodni — może nawet do jesieni i to będzie wszystko. Zima przesądzić może o losie kampanii fińskiej.

Polityka fińska straciła cenną swobodę ruchu. Sytuacja Finlandii jest sytuacją Węgier, tylko że Węgry zajęte zostały "pod protestem", Finlandia za zgodą rządu. Wywoła to rozłamy polityczne, wzrost partii "pokojowej", niesnaski. Możliwości powstania jakiegoś fińskiego "komitetu narodowego" nie są wykluczone. Finlandia nie jest państwem samodzielnym, co dowodzi raz jeszcze, że sojusz z Rzeszą łatwiej jest zawrzeć, aniżeli się z niego wyplątać. Rzesza nie puszcza sojuszników. Tylko Anglia — jakże rozsądnie — pogodziła się ze złamaniem sojuszu przez Francję w lecie r. 1940. Rzesza nie umie ani czekać, ani wypuszczać na czas swoich partnerów. Daje im odczuć, że są zależni, że są niewolnikami, sprawia, że — tak jak we Włoszech — niechęć do Niemców za ten właśnie przymus tylko rośnie.

Zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Stany Zjd. stało się faktem. Jest to cios dla Finlandii. Ogół fiński spodziewał się wiele od U.S.A.

"ROBOTY" LATAJĄ

Rozpoczął się trzeci tydzień popisów niecnych bomb-robotów. "Roboty" latają stosunkowo nisko, ich trasy przelotów nie mogą być zbytnio odmienne — co jest oczywiste, skoro bomby te nastawione są jak "gruba Berta" czy wielkie działa na pewne linie; można tylko regulować odległości przez odpowiednie dawkowanie paliwa.

Niemcy rzucili na Anglię chmary tych "meteorów". Jest rzeczą jasną, że przygotowanie takich ilości było dziełem nie miesięcy, ale chyba lat, że zatem Niemcy mieli ten "wynalazek" już chyba w r. 1940-ym albo 1941-ym i że powoli przechodzili na produkcję masową. Według zdania znawców, koszt budowy "robota" jest niski, najwięcej kosztuje "pilot automatyczny". Wyrzutnie, jakie zdobyto w Normandii dowodzą, że Niemcy przygotowywali jeszcze potężniejsze "roboty" albo może owe V.2. Obecnie mamy do czynienia z V.1 /*Vergeltung* — odpłata/. Radio niemieckie grozi V.2, a nawet V.3. Są to zapewne odmiany "robota" tylko cięższego kalibru. Obserwacje załóg A.A. /przeciw-lotnicze/ powiadają, że niektóre "roboty" mają ponad jedną tonnę materiału wybuchowego.

Wydaje się, że broń niemiecka miała odegrać rolę w chwili inwazji. Spóźniła się. Dzisiaj używana jest ona przeciwko ludności cywilnej rabując ją ze snu. *Ale Anglia wytrzymuje i wytrzyma. Nawet większe ładunki.*

Londyn, dnia 2 lipca 1944. r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

26 czerwca: W nocy z 25/26 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Myśliwcy polscy zestrzelili w walkach od 6.VI. — 25.VI. br. 40 samolotów niemieckich na pewno, 8 prawdopodobnie i 7 uszkodzili. 13 pilotów polskich nie powróciło z tych walk.

—Wojska sowieckie zajęły Witebsk i Żłobin.

—Lotnictwo amerykańskie z baz sowieckich bombardowało m.in. Drohobycz.

—Piąta Armia amerykańska zajęła port Piombino we Włoszech.

—Naczelny Wódz dokonał inspekcji O.R.P. "Błyskawica", po czym na okręcie tym odbył patrol bojowy wzdłuż wybrzeży Francji. Naczelny Wódz zwiedził pola walk w rej. Bayeux.

27 czerwca: Komunikat naczelnego sztabu sprzymierzonych doniósł o zdobyciu Cherbourga.

—W nocy z 26/27 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Wojska sprzymierzone zajęły Chiusi we Włoszech. Patrole Dywizji Karpackiej zlikwidowały nieprzyjacielskie posterunki i wzięły pewną ilość jeńca.

—Wojska sowieckie zajęły Orszę.

—Prasa podała, że 11.VI. br. Pińczów w pow. kieleckim został opanowany na kilka godzin przez oddziały Armii Krajowej celem odbicia działaczy ruchu podziemnego z więzienia.

—Na jednej ze stacyj lotniczych w Anglii odbyło się zaprzysiężenie 360 ochotniczek do Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet.

28 czerwca: W nocy z 27/28 polski dywizjon bombowy ciężki atakował cele wojskowe w rej. Calais, dywizjon bombowy lekki bombardował koleje we Francji, a polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Wojska sowieckie zajęły Mohylew i Osipowicze.

—Wojska sojusznicze zajęły San Vincenzo, Sassetta.

—W Normandii główne walki toczą się na płd. zach. od Caen.

—Naczelny Wódz wydał Rozkaz Nr. 11 do marynarzy O.R.P. "Błyskawica". W rozkazie tym czytamy: "Dziękuję Wam w imieniu służby za dotychczasowe osiągnięcia; dziękuję Wam od siebie za dobre chwile spędzone w Waszym gronie. Ślę Wam gorące życzenia, byście po tylu latach trudu, tułaczki i rozłąki jak najrychlej ujrzeć mogli Wasze rodziny pozostawione w Polsce, byście w wolnej i daj Boże szczęśliwej Ojczyźnie zaznali wiele radości życia i wiele szczęścia osobistego".

29 czerwca: Wojska sowieckie zajęły Bobrujsk i Petrozawodsk, stolicę sowieckiej republiki karelskiej.

—Sprzymierzeni zajęli Castagneto i Monticiano.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki w Niemczech m.in. pod Lipskiem, Magdeburgiem.

—Podpisana została umowa między rządem brytyjskim a rządem polskim, na mocy której zaopatrzenie dla Polskich Sił Zbrojnych dostarczane będzie na warunkach "Lease and Lend". Umowa ta jest wzajemna i działa wstecz od dnia 3.VI.40.

30 czerwca: Wojska sowieckie zajęły Słuck i Lubań na płd. od Mińska, Petryków nad Prypecią oraz Dzisnę i Zahacie w północnej części woj. wileńskiego.

—Lotnictwo sowieckie bombardowało Baranowicze, Mołodeczno i Łuniniec.

—Komunikat sztabu N.W. podał, że w dniu 26.V. br. oddziały Armii Krajowej stoczyły walki w woj. lubelskim z oddziałami niemieckimi, w których wyniku poległo 35 Niemców.

1 lipca: Wojska sowieckie zajęły Borysów.

—Niemcy ogłosili Florencję miastem otwartym.

2 lipca: Wojska sowieckie zajęły w Polsce Szarkowszczyznę, Wilejkę, Krasne, Stołpce, Nieśwież i Horodziej.

—Wojska II. Korpusu posunęły się naprzód na swym odcinku frontu we Włoszech. Sprzymierzeni zajęli m. Osimo.

Wojna na morzu

CHERBOURG

Zdobycie Cherbourga dało w ręce Sprzymierzonych najlepszą podstawę operacyjną w północnej Francji. Mimo woli nasuwa się porównanie:

Helu broniły cztery działa sześciocalowe i kilka polówek. Artyleria przeciwlotnicza liczyła 14 dział. Załoga — 3000 ludzi, już z junakami i strażą graniczną. Lotnictwa nie było wcale. Hel wytrzymał 31 dni, w tym 29 dni bombardowań bliskich i szturmów.

Cherbourg poddał się w dwudziestym dniu inwazji, a ósmym szturmu. Oczywiście — szturmowany był przez siły bardzo poważne; proporcjonalnie jednak stosunek sił był tu dla Niemców znacznie korzystniejszy, niż dla Polaków na Helu. 10 wielkich fortów, wał atlantycki, kilkaset dział /do najcięższych kalibrów włącznie/, okręty i samoloty, broń pancerna, oraz liczna, z wyborowych wojsk złożona załoga, broniły Cherbourga. A jednak . . .

I znów w zdobywaniu twierdzy i portu, w przygważdżaniu bateryj niemieckich, w odcięciu wszelakiego odwrotu — pierwszorzędną rolę odegrały marynarki wojenne Sojuszników /w tym i polska/. Ilekroć tylko wojsko znalazło się w trudnej sytuacji, wołano na pomoc okręty, koordynując ich potęgę ognia z działaniami na lądzie. Skutek był niezawodny.

Szereg walk w Kanale między siłami lekkimi obu stron oczywiście wypaść musiał na korzyść naszą. Ale nie znaczy to, że zadanie było łatwe, że obyło się bez strat. Natomiast fakt usunięcia niemieckich sił morskich, a częściowo i powietrznych, ze szlaków komunikacyjnych i lądowisk, przemawia znów za zasługą marynarek Sprzymierzonych. Ich zadaniem będzie też oczyszczenie portu w Cherbourgu i uruchomienie go.

Dowódca obrony morskiej Normandii, adm. Henneke, dostał się do niewoli wraz ze swym personelem, bateriami i okrętami obrony wybrzeża.

NA PACYFIKU

W chwili gdy piszemy te słowa, nie można sobie jeszcze dokładnie zdać sprawy z tego, co zaszło między Marianami a Filipinami. Ale, że wydarzenia nie poszły po myśli sztabu japońskiego, świadczą choćby komunikaty z Tokio, pełne dramatycznych ostrzeżeń.

"*Task force*" admirała Spruance wysadziła desant na wyspie Saipan. Zmusiło to wreszcie flotę japońską do opuszczenia kryjówek i wypłynięcia na spotkanie. Spotkanie jednak odbyło się w aż nadto "specyficzny" sposób. Do bitwy morskiej we właściwym tego słowa znaczeniu wcale nie doszło, natomiast odbył się szereg walk prowadzonych przez lotnictwo zaokrętowane stron obu. Ponieważ strona japońska poniosła niewątpliwie większe straty, tedy sparaliżowało to jej działania i eskadry okrętów mikada zawróciły na zachód.

Raport dowódcy sił morsko-lotniczych U.S.A. na Pacyfiku, admirała Nimitza, twierdzi, że od 10 do 23 czerwca w działaniach między wyspami Mariańskimi, Filipińskimi i Bonin /te ostatnie 500 mil od Japonii/ zniszczono nieprzyjacielowi 747 samolotów i 30 okrętów. Pozatem 2 okręty zostały prawdopodobnie zatopione, a około 60 uszkodzonych. Straty amerykańskie miały wynieść: 47 samolotów strąconych i 4 okręty uszkodzone.

Jakkolwiek cyfry wydają się zbyt "optymistyczne", to jednak nie ulega wątpliwości, że Amerykanie odnieśli sukces. Sukces ten, naszym zdaniem, należy przypisać w dużym stopniu zatopieniu trzech wielkich japońskich ropowców przez samoloty admirała Spruance. Pozbawiona cennego paliwa flota japońska musiała się wycofać do swych baz. Jeszcze jeden dowód zręcznej taktyki Wuja Sama.

Równocześnie admirał Nimitz wydłuża stale swe linie komunikacyjne, opanowując sytuację dzięki przewadze w tonażu wojennym i handlowym. Twierdzi on, że zadaniem marynarki amerykańskiej jest desant na kontynencie azjatyckim /Chiny/ i podanie ręki morskim siłom Sprzymierzonych, działającym z Ceylonu na Indonezję. Jak widzimy, dwie trzecie drogi zostały już przebyte, a utrata dwu /może trzech/ lotniskowców, dużej ilości samolotów oraz szeregu okrętów różnych typów, stawia Japonię, z jej wysuniętymi pozycjami, w trudnym położeniu.

NA BAŁTYKU

W związku z natarciem sowieckim na Finlandię, ożywiło się i na Bałtyku. Niemcy zgromadzili tam szereg okrętów, zbyt słabych by się mierzyć z flotą Sprzymierzonych na zachodzie, ale wciąż wartościowych tutaj. Wspierają jak mogą flotę fińską i starają się utrzymać — nie bez trudu — komunikację z Finlandią i Szwecją.

Świetnie utrzymana tajemnica wojskowa nie pozwala na określenie, nawet w przybliżeniu, jak wygląda obecnie flota sowiecka. Jest pewne jednak, że flota ta istnieje i operuje. Sowieckie okręty podwodne zatopiły ostatnio szereg transportowców niemieckich z wojskiem, sprzętem i cenną szwedzką rudą. Jeśli flocie sowieckiej uda się poważnie zagrozić komunikacjom przeciwnika, to — wbrew zapowiedziom — pomoc niemiecka dla Finlandii będzie bezpowrotnie stracona. Poważnemu zagrożeniu ulegnie też lewe skrzydło głównego frontu Hitlera na Łotwie i w Estonii.

PANCERNIK CZY DYWIZJA?

Na łamach "*The Navy*" Sir Archibald Hurd pisze: "Pancernik, którego siła bojowa równa się conajmniej sile nowoczesnej dywizji, ma załogę z 1200 ludzi, czyli 12 razy mniej personelu . . . nie mówiąc o innych jego zalet taktycznych i politycznych . . ."

Nasuwa to nam pewne refleksje o historycznym znaczeniu.

W rok po rewolucji hiszpańskiej, Polska otrzymała propozycję nabycia jednego lub dwóch pancerników typu "Jaime I". Były to okręty stosunkowo nowoczesne, wypierające około 17000 ton, uzbrojone w 8 dział 305 m/m i 16 — 100 m/m, oraz kilka przeciwlotniczych. Idealne narzędzia do zwalczania wszelkich "Schleswigów" czy nawet /pomijając szybkość/ "Deutschlandów".

Młoda hiszpańska republika potrzebowała pieniędzy. To też cena, po przerachowaniu zdewaluowanych peset na złote, była śmiesznie niska. Coś około miliona złotych za okręt.

Polska Marynarka Wojenna pragnęła nabyć conajmniej jeden pancernik. Połowa potrzebnych funduszów leżała już na koncie Oddziału Propagandy Floty Wojennej Ligi Morskiej i Kolonialnej. Druga połowa nie była trudna do uzyskania. Ale na przeszkodzie stanęły względy . . . organizacyjne. Młoda nasza marynarka nie posiadała wówczas jeszcze odpowiedniej samodzielności. O jej potrzebach zbyt często decydowały czynniki obce, dla których sprawy morskie były dziedziną nieznaną /a przez to i nielubianą/.

Ktoś tam przestraszył się kosztów utrzymania. Ktoś inny oświadczył, że *zamiast* pancernika lepiej mieć dywizję piechoty. Właśnie dywizję /patrz wyżej/. I sprawa została pogrzebana — zwykły koniec, gdy czynnik fachowy podlega niefachowemu. Nie będziemy tłomaczyć, jakie skutki miało to dla Polski. Jasne jest bowiem, że najwaleczniejsze polskie dywizje piechoty, o przestarzałym sprzęcie, nie mogłyby wykonać swego zadania. Natomiast nawet te nieliczne okręty, które posiadaliśmy, mimo zupełnej dysproporcji sił, zawsze swoje wykonały z pożytkiem dla Polski.

Tragiczne słowa "zamiast" i "kolejność potrzeb" — raz na zawsze winny zniknąć ze słownictwa wojskowego. Równowartościowe dziedziny sił zbrojnych mają równorzędne potrzeby.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Prócz znamienitej akcji artyleryjskiej O.R.P. "Dragona", oraz bitwy pod Ouessant, w której "Piorun", "Błyskawica" i okręty brytyjskie zatopiły dwa kontrtorpedowce niemieckie, te same dwa polskie kontrtorpedowce zatopiły 3, a wznieciły pożary na trzech innych niemieckich poławiaczach min typu "M" /500 ton, 2 działa 100 m/m, 8 mniejszych/ w okolicy wysp Jersey. Poza tym okręty polskie były w licznych akcjach przeciwko bateriom nieprzyjaciela na wybrzeżu, ścigaczom i okrętom podwodnym.

O.R.P. "Ślązakowi" przypadł zaszczyt rozpoczęcia akcji na jednym z odcinków i zlikwidowania ognia nieprzyjacielskiego. Oddziały brytyjskie znalazły się tam w trudnym położeniu i usilnie prosiły o pomoc. Wsparcie ogniem "Ślązaka" było tak skuteczne, że brytyjski oficer łącznikowy na lądzie sygnalizował: "Ocaliliście naszą skórę".

O.R.P. "Krakowiak" również zaangażowany był silnie i nawet wysadzał desant . . . Desant przyniósł różne trofea, między innymi dwie bandery niemieckie i . . . ubranie uszyte w Warszawie.

To oczywiście nie wszystko, ale . . . cierpliwości.

SPROSTOWANIE

W poprzedniej "Wojnie na morzu", w drugiej szpalcie, zaszła pomyłka korektorska. Zdanie: "Nie można *zastąpić* kolejności potrzeb . . ." — należy czytać:

"Nie można stosować kolejności potrzeb — wpierw ta dziedzina sił zbrojnych, potem tamta. Proporcja i ciągłość muszą być zachowane wszędzie".

JULIAN GINSBERT

Ćwierćwiecze Traktatu Wersalskiego

Dwadzieścia pięć lat temu, 28-go czerwca 1919 r., podpisano w Wersalu traktat pokoju między mocarstwami sprzymierzonymi i stowarzyszonymi a Rzeszą Niemiecką. Niemcy cesarskie przegrały ostatecznie długą, czteroletnią wojnę, w ciągu której parę razy bliskie były zwycięstwa. Marzenia o władzy nad światem skończyły się, trzeba było zapłacić wystawiony rachunek.

Nie był on mały, zwłaszcza jeśli chodzi o rewindykacje terytorialne, aczkolwiek nie załatwiał wszystkich żądań państw sąsiadujących z Niemcami, pozostawiał wiele spraw otwartych lub też załatwiał je połowicznie. Straty terytorialne Niemiec w porównaniu ze stanem posiadania Drugiej Rzeszy były dość duże. Niemcy musiały oddać Alzację i Lotaryngię Francji, Eupen i Malmedy Belgii, Poznańskie i Pomorze Polsce, a poza tym Gdańsk i Kłajpeda, dwa trzeciorzędne zresztą w gospodarce niemieckiej, porty na Bałtyku — zostały odłączone od Rzeszy w tym celu, aby utworzyć z nich wolne miasta. O losach Zagłębia Saary, Górnego Śląska, Mazurów, Warmii i Szlezwiku miały rozstrzygnąć późniejsze plebiscyty. Ponadto, Niemcy traciły na rzecz głównych mocarstw sprzymierzonych wszystkie posiadłości zamorskie, co kładło kres marzeniom o imperium kolonialnym.

Oprócz ustępstw terytorialnych Niemcy poddać się musiały surowym klauzulom wojskowym, które miały ograniczyć możliwości zbrojeniowe Rzeszy i raz na zawsze uniemożliwić jej podjęcie nowej próby zawładnięcia światem.

Rzesza Niemiecka, której milionowe armie przez cztery lata deptały liczne ziemie Europy, skazana została na szczupłą jedynie siłę zbrojną, która nie mogła przekroczyć cyfry stu tysięcy ludzi. Traktat Wersalski mówił wyraźnie, że Niemcy mogą posiadać najwyżej 7 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii, że główny sztab niemiecki, duma szeregu pokoleń pruskich militarystów, ma być skasowany i że jedynie mogą istnieć na terenie całej Rzeszy dwa sztaby korpusu armii.

Zniesiono powszechną służbę wojskową, a owa stu-tysięczna armia miała być rekrutowana tylko w drodze zaciągu ochotniczego. Ażeby uniemożliwić przeszkalanie rezerw pod pozorem zbyt częstej "wymiany" ochotników, Traktat Wersalski postanawiał, że podoficerowie i szeregowi zgłaszający się do służby, muszą pełnić ją nieprzerwanie w ciągu lat 12-u. Podobne przepisy dotyczyły i oficerów, którzy musieli służyć przynajmniej do 45-go roku życia, nowo-mianowani zaś podpisać zobowiązanie o pozostawaniu w szeregach przynajmniej przez lat 25.

Ograniczono szkolnictwo wojskowe do jednej tylko szkoły dla każdego rodzaju broni, wzbroniono urządzania jakichkolwiek ćwiczeń dla oficerów zwolnionych ze służby i zakazano wydawania zarządzeń o charakterze mobilizacyjnym. Obywatele Rzeszy nie mieli również prawa wstępować do służby w siłach zbrojnych obcych państw, a rząd niemiecki pozbawiony został prawa wysyłania własnych *attachés* wojskowych.

Klauzule traktatu nakazywały również zburzenie wszelkich fortyfikacyj po obu brzegach Renu na głębokość do 50 km na wschód od tej rzeki. Jednakże umocnienia na południu i wschodzie Niemiec nie miały ulec zniszczeniu.

Marynarka wojenna budowana przez lat pięćdziesiąt przez Niemcy cesarskie i zagrażająca swą siłą nawet flocie brytyjskiej, została zredukowana do 6 pancerników, 6 lekkich krążowników, 12 kontrtorpedowców i 12 torpedowców, przy czym personel floty nie mógł przekraczać 15.000 ludzi wszystkich stopni. Niemcy mieli wydać sprzymierzonym 8 pancerników, 8 lekkich krążowników, 42 nowoczesne kontrtorpedowce i 50 nowoczesnych torpedowców. Traktat nałożył również ścisłe normy w dziedzinie budowy nowych jednostek, przewidzianych jako uzupełnienie okrętów wycofanych ze służby. Przewidywał on, że Niemcy nie mogą posiadać pancerników o pojemności większej, niż 10.000 ton, a krążowników niż 6.000 ton. Dla kontrtorpedowców ustalono normę 800 ton, dla torpedowców 200 ton. Budowa, posiadanie i nabywanie wszelkich okrętów podwodnych — zostały wzbronione, nawet jeśliby miały one służyć wyłącznie dla celów handlowych.

Rzesza Niemiecka nie mogła posiadać lotnictwa wojskowego i morskiego, wzbroniona została fabrykacja gazów trujących i ich import, jak również przywóz broni i amunicji.

Trzecią wreszcie dziedziną ciężarów nałożonych na Niemcy były t.zw. reparacje czyli odszkodowania wojenne. Rzesza uznana oficjalnie przez Traktat Wersalski za winną wywołania wojny, miała wynagrodzić szkody i straty tym państwom, które ucierpiały wskutek napaści niemieckiej. Artykuł 235 Traktatu Wersalskiego przewidywał, że już w ciągu okresu 1919-1921 Niemcy muszą zapłacić w złocie, towarach, okrętach i t.p. zaliczkę, której równowartość wynosić miała 20-cia miliardów marek w złocie. Dalsze sumy należne od Niemiec tytułem odszkodowań, miały być stopniowo ustalane, jak również opracowany miał być dokładny plan uiszczenia tych należności przez państwo niemieckie.

Cesje terytorialne, ostatecznie przesądzone w Wersalu, obejmowały wyłącznie ziemie, których nie-niemiecki charakter, nie ulegał wątpliwości. Rzeszy odebrano po prostu to, co nigdy nie było jej własnością, jednakże cały szereg terenów, jak: Górny Śląsk, Szlezwik, Mazury czy Warmia, wszędzie tam, gdzie Niemcom udało się wykazać choćby pozory posiadania własnej masy etnicznej, poddane zostały plebiscytom. Traktat Wersalski, na który duży wpływ wywarło słynnych 14-cie punktów Wilsona, wychodził ze słusznych zresztą zasad, samostanowienia narodów. W stosunku do Niemiec posunął się jednak w tej dziedzinie tak daleko, że nawet tereny poddane silnej i sztucznej kolonizacji niemieckiej, gdzie żywioł niemiecki był napływowy i korzenie swe zapuścił stosunkowo płytko — uznano za tereny sporne. Plebiscyty — to charakterystyczny akcent Traktatu Wersalskiego, mówiący dowodnie o dobrej, choć pedantycznej nieraz woli jego twórców.

Dla Polski rozwiązanie graniczne, zwłaszcza nad morzem, było tego rodzaju, że stwarzało stałą możliwość konfliktu i nie zaspakajało naturalnych potrzeb odrodzonej Rzeczypospolitej. Polska uzyskała coprawda dostęp do morza, był on jednak zbyt mały, a poza tym wybrzeże, które nam przyznano, było pustką, na której dopiero w ciągu kilkunastu lat wyrósł cud Gdyni. Jedyny wielki port, Gdańsk, dla którego naturalnym zapleczem były ziemie Rzeczypospolitej, nie został do niej przyłączony. Statut Wolnego Miasta, aczkolwiek dawał Polsce duże uprawnienia, jednak uniemożliwiał w pełnym słowa znaczeniu władanie tym portem, stąd okres między dwiema wojnami był jednym ciągiem sporów polsko-gdańskich, w których zła wola władz Wolnego Miasta była oczywista dla każdego.

Prusy Wschodnie przez swe geograficzne położenie i stosunkowo niewielką odległość ich granicy od Warszawy, stanowiły stałą groźbę dla Polski i zresztą, jak się okazało podczas kampanii 1939 r., były tą groźbą istotnie. Plebiscyt, przeprowadzony w Warmii i na Mazurach, odbył się latem 1920 r., kiedy armie rosyjskie stały pod Warszawą i kiedy wysiłek propagandowy ze strony Polski był na tych ziemiach prawie żaden. W rezultacie, Niemcy, stosując różne metody agitacji, wygrały ten plebiscyt. Sposobność odsunięcia granicy nieco bardziej na północ od Warszawy i przyłączenia odwiecznie polskich, choć w znacznym stopniu zniemczonych ziem, przepadła.

Plebiscyt na Śląsku, przeprowadzony w innych już warunkach, dał Polsce znaczną część tego bogatego zagłębia przemysłowego, jednakże był rozwiązaniem tylko połowicznym, nie czyniąc zadość ani naszym słusznym historycznym roszczeniom, ani wymaganiom gospodarczym.

Kiedy podpisywano w Wersalu traktat pokojowy z Niemcami, Polska była już od szeregu miesięcy rzeczywistością. Była państwem uznanym, posiadającym własny rząd, przeprowadzone wybory do sejmu, własną armię tworzoną dosłownie z niczego i co ważniejsze, tworzoną w ogniu walk toczonych na wszystkich niemal frontach. Miała normalne stosunki dyplomatyczne z państwami sprzymierzonymi i neutralnymi i nie zawdzięczała swego istnienia Traktatowi Wersalskiemu. Nawet znaczna część ziem na zachodzie formalnie odzyskanych dopiero przez postanowienia wersalskie, faktycznie znajdowała się już w rękach polskich. Powstanie Wielkopolskie, które wybuchło 27-go grudnia 1918 r. wyzwoliło je znacznie wcześniej.

Rozwiązanie graniczne polsko-niemieckie nie odpowiadało więc wszystkim naszym żądaniom, a przez połowiczne załatwienie niektórych spraw jak Gdańska, Prus Wschodnich i Śląska, przez dość dziwaczną sytuację oddzielenia Prus Wschodnich od Rzeszy, przy równoczesnym pozostawieniu ich w ramach państwowości niemieckiej — stwarzało wieczne źródło konfliktu i zarzewie nowych wojen.

Mimo tego jednak, że Traktat Wersalski nie zaspakajał naszych roszczeń, Polska szanowała swój podpis złożony na tym dokumencie i stosowała się ściśle do jego postanowień. Więcej, gotowa go była bronić i udzielić swej siły w wypadku pogwałcenia przez Niemcy przyjętych zobowiązań. Dała zresztą tego dowód w r. 1936 podczas remilitaryzacji Nadrenii, kiedy, pomimo zawartego już od dwóch lat z Niemcami paktu o nieagresji, rząd polski zawiadomił Francję, że gdyby chciała wyciągnąć konsekwencje z naruszenia traktatu przez Niemcy, Polska uważać się będzie za związaną umową polsko-francuskiego przymierza z 1921 r. i gotowa jest udzielić zbrojnego poparcia. Niestety, oferta nie została przyjęta. W trzy lata potem wybuchła wojna, w nieskończenie lepszych dla Rzeszy okolicznościach.

Traktat Wersalski, niewiele przetrwał swych twórców. Pomyślany jako trwałe uregulowanie stosunków w Europie, wydawał się mieć wszelkie dane, by stać się fundamentem wzajemnych stosunków przynajmniej na dłuższy okres. Już w dwadzieścia lat po podpisaniu aktu w Wersalu, wybuchła nowa wojna, sprowokowana przez Rzeszę Niemiecką. W rzeczywistości, traktat ten już na wiele lat przed obecną wojną obowiązywał tylko na papierze.

Twórcom Traktatu Wersalskiego stawiano liczne zarzuty, niemniej jednak wydaje się, że to nie treść paragrafów podpisanych w Wersalu była powodem szybkiego odrodzenia Rzeszy Niemieckiej. Winę ponosili ci, na których przede wszystkim spoczywał obowiązek pilnowania, aby zasady Traktatu były wypełniane przez Niemców i aby Rzesza nie omijała tych przepisów lub otwarcie ich nie łamała. Najlepsza bowiem, najbardziej idealna norma prawna pozostaje martwą literą, jeśli nie posiada szybkiej, sprężystej egzekutywy, środków wymuszenia posłuchu.

Postanowienia Traktatu Wersalskiego nie zostały przez Niemców wykonane, albo też wykonane były częściowo i powierzchownie. Najpierw fikcją stały się reparacje, które, rozkładane i dostosowywane przez różne organy międzynarodowe do możliwości płatniczych "biednych" Niemiec, nie zostały w rezultacie spłacone. Co więcej, Niemcy otrzymali wiele pożyczek zagranicznych, które pozwoliły im rozbudować swój i tak już potężny przemysł.

Potem przyszły zupełnie jawne przekraczania klauzul wojskowych i ukryte zbrojenia, które, po dojściu Hitlera do władzy, prowadzone były już bez żadnych osłonek. Przez wiele długich lat naród niemiecki ostrzył nóż i nie robił bynajmniej tajemnicy w jakim celu to czyni. Przygotowywał się do zrzucenia ostatnich więzów nałożonych Rzeszy w Wersalu, do rewindykacyj terytorialnych, a jednocześnie do nowej próby opanowania świata.

Zachód Europy nie wierzył jednak w wojnę, łudził się, że zdoła jej uniknąć, nie był do niej pod żadnym względem przygotowany, ani materialnie, ani moralnie, ani politycznie, mimo, że z roku na rok, z dnia na dzień niemal, klauzule traktatu stawały się fikcją, aż wreszcie zostały ostatecznie podeptane. Wojna, która obecnie się toczy, słusznie uważana za dalszy ciąg tamtej, jest wynikiem niedociągnięć i braku kontroli ze strony zwycięzców nad pokonanym, jest niemal klasycznym przykładem, jak państwo, które przegrało wojnę, zdołało w rekordowym czasie wygrać pokój i niemal bez przeszkód przygotować się do wojny rewanżowej.

Wojna, która się toczy, zakończy się klęską Rzeszy. Nie mają chyba co do tego żadnych wątpliwości nawet sami Niemcy. Kiedyś, prędzej czy później, podyktowane im będą warunki zawieszenia broni, a wreszcie klauzule traktatu. Jeśli ma być on znowu umową, której wykonania nie będzie chronić żadna siła, kto wie, czy Niemcy nie podejmą trzeciej próby walki o władzę nad światem. Tylko siła konsekwentna, trwale pilnująca wykonania postanowień międzynarodowych, tylko trwałe rozbrojenie Rzeszy Niemieckiej, a jednocześnie, zakrojona na parę pokoleń reedukacja narodu niemieckiego — może ich od tego powstrzyma.

ZYGMUNT JASTRZĘBSKI

WIERSZE

CISZA

Wicher krzyżami w Newark kołysze
I tylko wicher przerywa ciszę,
I tylko wicher mąci dziś pokój
Zeszłego w cienie jednego roku . . .

Przy drzwiach zapomnień mocno zawartych
Stoją kamienne, jak serca, warty.
Trawy się kłębią zieloną paszą,
"ZA WOLNOŚĆ" . . . Czyją? . . . Przecież za naszą!

Dni szybko lecą, czas prędko bieży,
Gorące słowo w milczeniu leży,
Nie runie w gniewie, gdyż nic nie słyszy,
Nawet protestu tragicznej ciszy.

. . . .

Niech gorzkich swarów zatrute ostrze
W oczach niesione, tutaj nie dotrze . . .
Niech żar co pali gardła krzykaczy
Czarnych błyskawic w chmurach nie znaczy!

Niech nic nie budzi tych co posnęli
Podzwonną strażą podróżnych trzmieli,
Wiatr im goryczy nie strząsa z liści . . .
Jacyś-my straszni! . . . Jacy ci czyści . . .

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

BARDZO MIŁEJ

Więc tak — zostałem sam.
Smutno w pokoju. Jakby umarła leżała w trumnie.
A przecież nic, wszystko to samo. Czai się mrok, cisza i tajemnica.
Ludne ulice. Pięknisie tak samo wchodzą do bram,
Pyszne, wspaniałe głowy unosząc dumnie.
Jak wczoraj, dziś, błysnęły w tłumie i tu i tam,
Znajome włosy, lekko związane promieniem księżyca.

Ale nie to. Nie tamta i nie ta.
I wiem, że jej nie ma. I smutno mi.
Patrzę w noc, gwiazdami ciężko okutą.
Może to nawet i nie kobieta.
I nie musnęły mię nawet jej oczy, usta i brwi.
Przecież moja najdroższa, cichutko śpi,
Przysypana murawą i rutą.

Poznałem wiele. Dużo cierpienia i bólu.
Co mówić? Stąpa za mną wierny towarzysz — nieszczęście.
Pójdziemy znowu razem, kolego. Na ziemię szybko opadną
Żółte liście: plusk liści i kul.
Serce puka, stuk cekaemu.
To wiatr się zrywa w dzikim chrzęście
Nad moim życiem. Może przepadną
Krew i nieszczęście w skrach czarnoziemu!

Gdybym mógł wszystko kochanej powiedzieć,
Gdy mię ścigają morskie oczy,
Mokre od łez i niezapominajek!
Przecież ty mogłaś o tym latami nie wiedzieć.
Czas pośpiesznie się toczy.
Przez chmury i góry, wąwozy i gaje,
Cmentarze i rzeki, lata, jesienie, szaleństwa i kraje,
Łoskot dni, łoskot pociągów — jedzie! Jedzie! Jedzie!

Dobranoc, miła. Dobranoc — na wieki.
Płonę i krwawię, jak dumna Warszawa.
I nie zapomnij . . . Dobranoc.
Kładą się cienie na rzęsy, cmentarna trawa.
Gwiazda wieczorna przyciska powieki
Bryłami cienia. Dobranoc.
Dobranoc, miła. Dobranoc, kraju daleki.

MARIAN CZUCHNOWSKI

Polskie czołgi we Włoszech



PRZEDSTAWIAM "LUCYPERA"

"Lucyper" — to nic strasznego. To po prostu nazwa mego czołgu. Nie mogłem przecież nazwać go "Aniołem". Nie wypada, aby Aniołek tak kropił Niemców, jak to zawsze ujdzie Lucyperowi. Zresztą nazwy czołgów mojego oddziału zaczynają się na literę "L". Jest więc "Laufer", "Lawina", " Lampart" i t.d.

Dowodzi mną — niestety nawet i tutaj — płeć piękna . . . "Lala". Trzeba przyznać, że trzyma się nieźle. Nie traci fasonu mimo licznych obrażeń, jakich doznała od niemieckich moździerzy. Posiekali biedaczce cały tył wraz z bakiem, jednak nie "nawala". Prawie na wszystkie wyprawy jeździmy razem. Już nawet mówią, że "Lucyper" i "Lala" to nierozłączna para.

Mówią też, że gdy nas trafi szlak, czyli niemiecki pepanc., możemy mieć protekcję w piekle. Mnie tam, co prawda, zbytnio na tym nie zależy. Po pierwsze, zanim się coś stanie, muszę na "Lucyperze" wjechać do Polski a po drugie, gdyby nawet coś się przydarzyło, to w tym tłoku człowiek zawsze "przeszwarcuje się" choćby do czyśćca . . .

PIERWSZE ZADANIE

Pierwsze zadanie dostałem krótkie: zawieźć saperów na odcinek i osłonić ogniem ich pracę przy rozbrajaniu min na Piedimonte.

Sapery, ot, jak to sapery. Chłop w chłopa, uśmiechnięte gęby, za pasem szpilki i taśmy — jak same inżyniery . . . Około 10-ej zaczynamy pracę. Po pachnącej, umajonej kwiatami łące posuwają się wolno saperzy. Dziurawią szpilkami ziemię . . . badają . . . macają . . . i . . . idą. Z tyłu, ograniczonym białymi taśmami szlakiem, posuwa się wolno "Lucyper".

W odległości około 4 km. bielą się mury Piedimonte. Nawet najmniejszy ruch nie zdradza obecności Niemców. Jest tak cicho, tak ciepło, tak przyjemnie pachną kwiaty i tak swobodnie bujają w przestworzach skowronki, że wierzyć się nie chce, by tuż, opodal były "tedeski".

Nagle, gdy dojechaliśmy na odległość około 1 km. od miasta, panującą ciszę przerwał huk niemieckich moździerzy. Zakurzyło się przed czołgiem. Sapery padli. Myślałem, że zawrócą . . . Ale gdzie tam! . . . pełzając jak węże nadal badali przedpole. Dopiero pod samym miastem, gdy odezwała się niemiecka broń maszynowa, wrócili do czołgu.

Wypuściwszy pierwszą w tej wojnie serię z karabinu maszynowego, powróciłem do m.p. dowództwa. "Melduję — zawołałem już z daleka do zbliżającego się dowódcy — że zadanie wykonałem. Dojście rozpoznane i wytyczone".

DOBRE RADY TOBRUCCZYKA

Około południa zaczęli strzelać — i oni i nasi. Od samego huku włosy stają dęba, tym bardziej, że jestem nowicjuszem. Postanowiłem przeto pogadać z jakimś weteranem, który zapewne już od kilku dni znajduje się na froncie.

—Panie — zagaduję jakiegoś starszego strzelca — co oni tak strzelają?

—Huraganowy ogień nasze uskuteczniają . . . O, patrz pan — jak w te "wiladżji" walą!

—Dobrze, ale Niemcy też strzelają?

—A tak. Uni z kulei nasze artylerie moździerzem macajom.

—No, a ja, że to znaczy się w broni pancernej służę, czy też mogę być poszkodowany?

—Pytasz się pan, jak sam laik. Przecież taki granat moździerzowy przed wybuchem nie sprawdza u pana znaku samotności i służbowej przynależności. Trzeba się chować po dziurach.

—Tak, ale kiedy padać? Tyle jest tego huku, że człowiek jest zdezorientowany.

—Panie, na wojnie człowiek musi być cwany, a nie jakiś tam zde . . . zdro . . . i tak dalej, jakżeś tam pan powiedział. Jak z tyłu huknie, to stój pan. To nasze z palu lub jeich sprzymierzone kolegi po fachu strzelajom. Ale jak zacznie świstać z przodu, kładź się pan do dziury, aż nie wybuchnie. Zresztą nauczysz się pan odróżniać na słuch. Ja w Tobruku też laikiem byłem, a dzisiaj — sam pan widzisz.

Saper polski rozbrajający minę



TU MÓWI WANDA . . .

Wieczorem, korzystając z wolnego czasu, położyliśmy się spać. Kilka nieprzespanych nocy dało się dobrze we znaki. Przed zaśnięciem nastawiam radio na częstotliwość "3x".

"Tu mówi Wanda . . . Rodzinny dom . . . ile w sobie treści kryją te słowa . . . Rodzina, rodzeństwo, narzeczona, koledzy, znajomi . . . wiosenne, ciepłe wieczory . . . a czy pomyślałeś o tym polski żołnierzu, że bardzo łatwo, po bezmała pięcioletniej tułaczce, mógłbyś wreszcie wrócić do domu . . . do swoich . . . Wystarczy tylko podejść do pierwszej niemieckiej placówki i powiedzieć hasło — "Do domu" . . .

Zupełnie niepotrzebnie namawiasz mnie "Wandeczko" do powrotu. My już idziemy do domu. Idziemy właśnie z tym hasłem na ustach i bronią w ręku. Idziemy i iść będziemy od placówki niemieckiej do placówki, aby wciąż dalej i dalej, a bliżej domu. I za środki lokomocji dziękujemy ci "Wando". My mamy czołgi i inne wozy bojowe a kwatermistrzostwo i kuchnia też się pomieści w swoich "doczkach". Lękasz się, byśmy nie zbłądzili? . . . Bądź spokojna o to. Ten szlak jest nam dobrze znany a zresztą drogę pokażą nam uciekający Niemcy . Ciesz się więc "Wando", bo "twoi rodacy" już idą do domu i bardzo pragną cię odnaleźć, by . . . ci podziękować za tak dobre serce.

NATARCIE

Około godziny 3-ej po południu pod osłoną huraganowego ognia artylerii czołgi ruszyły do natarcia. Przez lornetkę obserwujemy ich pracę . . . Rozproszone w terenie wolno posuwają się do przodu. Miażdżone stalowymi piersiami walą się drzewa i pojedyncze domy.

Niemcy otwierają ogień. Huk dział miesza się z wybuchami granatów i trajkotem karabinów maszynowych, zamieniając się chwilowo w jeden głuchy pomruk. Natarcie przedłuża się do późnego wieczora. Jest ciemno, tylko na lewym skrzydle natarcia jaskrawy słup ognia bije ku górze.

Około północy dostaję rozkaz dowiezienia żywności załogom unieruchomionych czołgów. Wolno się przesuwając po nieznanym terenie, odnajdujemy je daleko na przodzie.

Nasze działa umilkły. Niemcy też przestali strzelać. Jest zupełnie cicho i ciemno, tylko na lewym skrzydle natarcia jasnym słupem ognia pali się czołg i jego dzielna załoga . . . Cześć poległym żołnierzom pancernym!

NIEDZIELNY PORANEK

Ze snu trwającego zaledwie godzinę zbudziły nas wybuchy granatów. Byłem tak śpiący, że z początku nie chciałem nawet wstawać z wygodnego legowiska. Gdy jednak wybuchły opodal granat potłukł odłamkami lampę, natychmiast nabrałem chęci do zmiany m.p.

Gdy trochę ucichło, przystąpiliśmy do sporządzenia śniadania. Pootwieraliśmy konserwy, przygotowaliśmy prymus i . . . nowe wybuchy przerwały nam pracę. Granaty rozrywają się jeden koło drugiego. Jest naprawdę gorąco. Schroniłem się wraz z kierowcą do rowu. Nawet nosa nie można z niego wychylić. Przeciwnie — może nawet głębiej niż grzęźnie niewypał, wetknąłem go w ziemię. Aż mi skóra teraz z niego schodzi.

—Ale dranie nas wymacali — powiada do mnie kierowca.

Przerwał, bo po piekielnym świście wybuchu, od którego aż ziemia jękła, grudy gliny i kamienie posypały się nam na głowy. Władzio zbladł, ja chyba jeszcze więcej, bo czułem, jak mi krew spływa do nóg. Gdyby tak ktoś mnie w tym momencie o coś pytał, to nie wiem, czy zdołałbym mu odpowiedzieć innym głosem, niż mówi jakiś wielce stremowany *conferencier* na przedstawieniu amatorskim. Coś ścisnęło mnie za gardło.

Gdy po kilku godzinach ucichło, podeszliśmy do "Lucypera". Zaimponował nam swoją postawą. Stał niewzruszony, choć odłamki podziurawiły mu przyczepione z tyłu bańki z wodą i olejem, siatkę osłaniającą silnik, kosz i znajdujące się w nim rzeczy. Jednak najbardziej szkoda nam było posiekanych odłamkami konserw.

Ha trudno! . . . wojna.

PODWOZIMY AMUNICJĘ

Trzeci dzień na froncie. Prawie już wszyscy czujemy się starymi żołnierzami. Aby dać tego dowód większość z nas chodzi bez hełmów i już nie pada przy rozrywających się gdzieś dalej granatach. Prócz tego nauczyłem się oceniać sytuację językiem wojskowym. Może nawet lepiej, niż ów starszy strzelec z Tobruku.

Na odcinku oddziału pancernego "Lwowskich Dzieci" nadal trwa natarcie. Niemcy stawiają zacięty opór. Czołgi już przeszło 40 godzin są w akcji i metr po metrze torują drogę piechocie . . .

Możebym tak jeszcze długo pisał, ale właśnie dostajemy z "Lalą" zadanie: "Dowieźć amunicję nacierającym na Piedimonte".

Odpowiadam krótko: — Tak jest! — i znów ta sama para: "Lucyper" i "Lala", dźwigając na grzbiecie "bułeczki dla kotków", pędzą po zarośniętej drzewami dolinie ku miastu.

Puściłem oczywiście "Lalę" naprzód — trzeba i na wojnie być gentlemanem. Zresztą z tyłu jest jakoś raźniej. Nagle rozrywające się między czołgami granaty rozdzieliły naszą parę. "Lala" skoczyła do przodu, "Lucyper" trochę przystanął.

—Władziu — proponuję nieśmiało kierowcy — możebyśmy dalej jechali na peryskopach . . . jeszcze zakurzy nam oczy . . .

Nie zgodził się. Powiada, że łatwo mógłby rozjechać któręgoś z "zajęcy". Rzeczywiście, po rowach i wnękach przyczajeni za wzniesieniami siedzieli angielscy i hinduscy piechurzy.

Nie wypadało mi samemu zamykać klapy. Zresztą, dlaczego ma właśnie w nas trafić? Człowiek na strzelnicy czasem na sto metrów nie mógł przetrącić sylwetki . . . a nam przecież wystają tylko oczy.

Po chwili wyjechaliśmy na równinę okalającą miasto. Po niej to, rozsypane wzdłuż i wszerz, nacierały czołgi. Przy jednym z nich stała już "Lala", karmiąc go "bułeczkami". Chciałem zrobić to samo, jednak wzmagający się wciąż ogień broni maszynowej uniemożliwił wychylanie się.

Na chwilę zawahałem się — co robić? . . . Odpowiedź nasunął mi widok dość pokaźnej fałdy terenowej. Zatrzymaliśmy się za nią. W pokopanych rowach leżeli angielscy żołnierze. Wskoczyłem do pierwszego, by stamtąd ocenić sytuację. Żołnierze jednak nie chcieli mnie wpuścić tłumacząc, że czołg mój zdradza ich stanowiska. Po chwili podbiegł, a raczej podpełzł jakiś blady młodzian z trzema kwiatkami na naramiennikach i pięcioma znanymi językami tłumaczył . . . prosił . . . wreszcie rozkazywał, byśmy opuścili to miejsce. Ponieważ celowo udawałem, że go nie rozumiem — zdenerwowany do ostateczności — zawołał: . . . "jala!"

—"Okej" — odparłem możliwie najspokojniej i . . . tylko dlatego, że oni patrzyli, mimo dreszczyków w okolicy łopatek i lekkiego drżenia kolan, podszedłem do najbliżej stojącego czołgu. Aby zwrócić na siebie uwagę, zacząłem rzucać kamieniami do stalowej okiennicy.

—Hallo! przywiozłem "bułeczki" — wysiliłem się na dowcip.

—Kiedy deszcz pada — odezwał się ktoś od wewnątrz.

Rzeczywiście stalowe kropelki niemieckiej broni maszynowej ze świstem pruły powietrze.

—To gdzie mam je zostawić?

—Pod tym drzewem — odpowiedział ten sam głos.

—Tak je . . . — nie skończyłem, gdyż w tej chwili usłyszałem przeraźliwy świst prującego powietrze granatu. Jak kangur skoczyłem do rowu. Kto wie, czy po dokładnym zmierzeniu odległości, jaką przebyłem wówczas w powietrzu, nie zostałbym pogromcą mistrza świata w skoku w dal. Kto wie . . .

W rowie, w którym wylądowałem, siedział oparty o ścianę trup. Mimo, że w podobnym towarzystwie znajdowałem się po raz pierwszy, nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Nasunąłem mu hełm na oczy i podpełzłem do czołgu.

Anglicy już się trochę uspokoili. Z jednym z nich Władzio rozprawiał się na migi. Okazało się, że rozmawiali o piłce nożnej, której obaj byli gorącymi zwolennikami.

—"Okej" — przerwałem im rozmowę i dodałem — jedziemy, Władziu.

Podjechaliśmy pod wskazane drzewo i amunicję, którą 4 ludzi ładowało 15 minut, wyładowaliśmy dosłownie w kilka chwil. Gdybyśmy tak w onych 1940-41 latach pracowali w Uchcie, nasi "opiekunowie" musieliby stworzyć jakiś ekstra kocioł z jednym śledzikiem więcej i nową nazwę dla "ekstra-udarników". Kto wie, czy i na tablicy przed "żoną" nie wisiałyby nasze szanowne podobizny z napisem "1250% wyrabotki".

Drogę powrotną przebyliśmy niemal w powietrzu. Jak samolot lotem koszącym pędziliśmy po rowach i drzewach do bazy, gdzie . . . lekko w prawy bok odłamkiem szturchnięta, lecz uśmiechnięta czekała nas "Lala".

ANDRZEJ HALEDA

Przygotowania do akcji



Zbliżamy się do pola bitwy



Marynarze żenią się w Kolhapur

Linia "Gdynia-Ameryka" działa. Centrala przeniosła się do Anglii i statki jeżdżą, jak dawniej po całym świecie. Oczywiście przemalowano je, przebudowano wnętrza, wyposażono w armatki i zenitówki. Kiedy por. S., staremu wydze prasowemu, pokazano statek, jadący obok nas w konwoju, mówiąc, że to "Batory" . . . — "Pamietasz, na nim jeździliśmy dokoła Europy na inauguracyjnej wycieczce prasowej", porucznik zaprzeczył stanowczo: — "Ale skąd! Tamten był zupełnie inny".

A jednak tak — stoi teraz przed nami, na 5 molo, nieopatrzony żadną nazwą, a jednak niewątpliwie on. Nie sposób jest dostać się do środka. Statek musi wyładować żołnierzy, załadować nowych i jeszcze dziś w nocy ruszyć w drogę powrotną. Jedyny sposób — po drabince żelaznej w górę!

Na statku praca wre na całego. Marynarze uwijają się szybko i zręcznie. Jeden z oficerów wydaje rozkazy.

—Hallo! — woła właśnie — zamknąć bulaje w mesdekach! . . . Gdzie jest drugi?!

—Na midszipie.

/Diablim językiem gadają, czy co?!/

—Przepraszam bardzo, pan jest kapitanem okrętu?

—Jestem trzecim nawigacyjnym. W jakiej sprawie?

—Chciałem mówić z kapitanem. Jestem korespondentem wojennym.

—Chwileczkę, zadzwonię. /Krótka rozmowa telefoniczna/. Dobrze — może pan wejść. Proszę zaprowadzić pana do kapitana.

—Panie — pytam idącego ze mną marynarza — jakim językiem wy rozmawiacie? Co to jest "bulaj", co to jest "mesdek", co to jest "midszip"? I co znaczy "trzeci nawigacyjny?!"

Marynarz śmieje się:

—Oczywiście, szczur lądowy! — mówi z pogardą — I w Anglii pan też pewnie nie był?" "Mesdek" — to wielka sala, gdzie żołnierze jedzą, śpią i grają w karty; "midszip" — to środek okrętu, "bulaje" — to okno, łóżko to "koja", drzwi — "porta", "trap" — schodki z okrętu, "szpiga" — ściek, a . . . A resztę powiem panu, jak pan wyjdzie od kapitana, bo tu właśnie już jest jego kajuta.

—Dobry wieczór — na powitanie wstaje przystojny, właściwie jeszcze zupełnie młody człowiek. — Wiem już o celu pańskiej wizyty i, czym mogę — służę. Napije się pan "kokakolaju"?

—Chętnie — odpowiadam zupełnie niespeszony — nawet bardzo lubię "kokakolaj". Więc, panie kapitanie — chciałem przede wszystkim prosić o informacje o statku, o jego podróżach, o sobie, o życiu marynarzy. Słowem mały wykład o historii statku i jego kapitana — jeśli można.

. . . Na stoliku, obok łóżka kapitana stoi fotografia. Duże dziecinne oczy patrzą na mnie. Nad łóżkiem, na ścianie, wisi druga: kobieta ma na ręku dziecko. Na biurku — kapitan, kobieta i dziecko . . . Tamci dwoje zostali t a m — daleko. Rozdzielił ich w r z e s i e ń . . .

—Historia moja i statku . . . — mówi kapitan — Hm . . . No, dobrze! . . . Więc cofnijmy się kilka lat wstecz. Jest rok 1939. Dokładnie: wrzesień 1939-ego roku . . .

— — Statek nazywał się "Poznań". Towarowiec. W dniu wybuchu wojny znajdował się w Zatoce Botnickiej, koło szwedzko-fińskiej granicy. Tułał się po morzu przez szereg dni — bez portu macierzystego, bez domu, ale z nadzieją rychłego powrotu. Gdy nadzieja ta zawodzi, kapitan zdobywa się na decyzję: za wszelką cenę przedrzeć się do Anglii! Dn. 23 października statek przybija do Gefle, o 100 mil na płn. od Sztokholmu, 1-go listopada przejeżdża koło Kopenhagi, naprzeciw Göteborgu. "Poznań" jest ostatnim statkiem alianckim, jaki wychodzi z Bałtyku w stronę W. Brytanii. Po 3-tygodniowej podróży kapitan przybija do Anglii i oddaje statek do dyspozycji Aliantów.

Sam kapitan jednak zmienia stanowisko. Obejmuje wielki motorowiec. Jedzie na nim do Kanady, przewozi wojska do W. Brytanii, pływa po Morzu Śródziemnym i Czerwonym. Kiedy Niemcy rzucają się na Norwegię, przewozi oddziały do Norwegii, jest w Narwiku. W czerwcu 40-go roku obejmuje bliźniaczy motorowiec; właśnie ten, który prowadzi obecnie. I ten statek miał uprzednio podobne koleje: Atlantyk, Morze Śródziemne, Norwegia.

Tymczasem Niemcy wkraczają do Francji, wojska francuskie załamują się, Pétain obejmuje władzę. Następuje rozdział wojny, który w historii zawsze będzie nazywał się: Dunkierka. Statek bierze udział w ewakuacji wojsk alianckich z portu Saint Jean de Luz, przy granicy hiszpańskiej, poczem wraca do W. Brytanii. Lada chwila Niemcy mogą dokonać inwazji na wyspy.

Lada chwila spokojny kraj może zamienić się w teren wojny. Już teraz Niemcy przeprowadzają olbrzymie naloty na Londyn, Coventry, Bristol. Trzeba ratować to, co najcenniejsze, najdroższe dla kraju — dzieci! Rząd brytyjski decyduje: częściowa ewakuacja dzieci angielskich do dominiów brytyjskich. I polskie statki przewożą dzieci angielskie do bezpiecznych miejsc — za morze. W październiku 1940 r. dzieci przyjeżdżają do Australii. Rząd australijski składa marynarzom statku upominek. Skromny, ale jakżeż subtelnie wybrany. Wielki obraz: góra Kościuszki. Pod nim napis "Rząd australijski wdzięczny marynarzom polskim za udział w ewakuowaniu dzieci brytyjskich z Anglii i za serdeczną opiekę nad nimi w czasie podróży" . . .

Z Australii droga wiedzie do Nowej Zelandii. Trzeba przewieźć wojska nowozelandzkie na afrykański teatr wojny. Potem znowu — Atlantyk. Na pokładzie statku jedzie znana aktorka filmowa i teatralna, Anna Neagle. Jest tak urzeczona uprzejmością Polaków, że w pierwszym swoim przemówieniu radiowym w Ameryce, w którym ma opisać swoją pracę teatralną w Anglii i swoje plany na przyszłość, mówi zamiast tego o . . . Polakach i polskim statku. Przesyła marynarzom portret z dedykacją.

W tym czasie w Kanadzie znajduje się gen. Sikorski. W marcu 1941-go roku przyjeżdża specjalnie do Halifax i odwiedza statek. Rozpytuje szczegółowo o wszystko kapitana, długo rozmawia z marynarzami.

Po powrocie do W. Brytanii czeka ich druga, wielka wizyta. Prezydent Raczkiewicz przybywa na statek, by osobiście udekorować marynarzy. Pięciu nosi dziś na piersi "Krzyże walecznych", trzech odznaczenia brytyjskie: OBE, MBE i DSC.

Następuje rok 42. Statek niezmordowanie przewozi transporty wojenne na Morze Śródziemne. W październiku Prezydent R.P. po raz drugi odwiedza marynarzy.

Wreszcie nadchodzi wielki dzień 3 listopada. Inwazja Północnej Afryki. Oddziały amerykańskie, przewiezione na statku lądują w Marocco. Jedzie z nimi brytyjski korespondent wojenny. Lądowanie odbywa się w niedzielę rano, a już w poniedziałek po południu *"The Illustrated London News"* zamieszcza reportaż i fotografie, robione z polskiego statku. W czwartek na ekranach londyńskich "idą" *"news'y"* obrazujące inwazję. Korespondent, znajdujący się na polskim statku pobił szybkością wszystkich swoich amerykańskich i brytyjskich kolegów.

Załoga nie ma czasu na odpoczynek. Przewozi dalsze posiłki do Afryki Północnej. Następuje drugi, wielki dzień w życiu polskich marynarzy. Statek bierze udział w inwazji Sycylii. Polacy stają na stałym lądzie europejskim.

Rozkazy admiralicji kierują statek na Ocean Indyjski. Trzeba przewozić dzieci i kobiety polskie z obozu w Ahwazie do Indii. Transporty jadą z portu Karam-Szar, w Persji, poprzez Karachi na południe. 250 mil na połudn. wschód od Bombaju powstaje osiedle polskie w Kolhapur.

Na statku jeden z marynarzy zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Kiedy statek po raz drugi wiezie partię uchodźców do Indii, marynarz prosi o dwudniowy urlop, jedzie do Kolhapur i . . . żeni się. Załoga jest błyskawicznie poinformowana o wypadku i zdąża przybyć na czas. Sam kapitan prowadzi narzeczoną do ołtarza. W skromnym kościółku ksiądz polski udziela ślubu. Uroczystość weselna trwa do późnej nocy. Potem wszyscy odprowadzają małżonków do domu rodziców...na noc poślubną. A nazajutrz "Rada Miejska" m. Kolhapur decyduje nazwać główną ulicę osiedla imieniem statku.

Boże Narodzenie. Marynarze składają z własnych funduszów 1700 rupii, kupują ponad to kilka skrzyń cukierków i innych słodyczy i posyłają na gwiazdkę dzieciom "kolhapurskim". A na Sylwestra odbywa się drugi ślub. Marynarze są uczciwi, zakochują się, żenią się. Tym razem trzeci nawigacyjny prowadzi pannę młodą. I znowu ten sam dobrotliwy księżulo, w tym samym kościółku. Ale już odgraża się, że trzeciego ślubu udzieli w nowym, murowanym kościele, który na pewno w styczniu 1944 r. będzie gotowy. A nazajutrz, po ślubie znowu jedna z ulic Kolhapuru zmienia nazwę. Teraz nazywa się: "Portowa" . . .

A gdy w kilka dni później marynarze muszą odjechać, mieszkanki osiedla tłumnie ich odprowadzają. Młode żony płaczą, ale kapitan pociesza, że mężowie na pewno rychło wrócą. Mieszkanki polecają się marynarskiej pamięci i wierności i na odjezdnym wymuszają na "Radzie Miejskiej" jeszcze jedną zmianę nazwy, tym razem centralnego placu. Załoga asystuje przy uroczystości. Na murze pojawia się szyld: "Plac Marynarzy".

Statek płynie na Morze Śródziemne. Przewozi wojska na front włoski. Teraz zawinął do jednego ze śródziemnomorskich portów. Za pięć godzin rusza dalej — —

Godzina już pewnie minęła od chwili rozpoczęcia opowiadania. Kapitan jest zmęczony, w nocy pracował, nocy dzisiejszej też spać nie będzie. Co chwila ktoś wchodzi, przynosi fonogram, zgłasza się po instrukcje. Na biurku leżą książki polskie: naukowe i beletrystyczne. A na stoliku, obok łóżka — fotografia. Małego synka, który czeka na ojca . . .

Przed odejściem zwiedzam statek. W hallu na ścianie namalowany jest portret króla Batorego, patrona statku. Trzeci nawigacyjny spotyka mnie w korytarzu i prowadzi do siebie.

—"Muszę pana poczęstować "kokakolajem" — mówi. A później wyjaśnia: *"Coq a koly"* — to świetny, nowo odkryty napój amerykański. Wynalazca zrobił na nim miliony. Na statku główny kucharz według recepty amerykańskiej przyrządza ten napój dla marynarzy.

Zwiedzam potem jeszcze wiele kajut, sal, mesdeków . . . Wszędzie rozmawiają chętnie, życzliwie, ale przezornie, czy aby nie szpieg?!/. Trzeci nawigacyjny skończył Szkołę Morską w Gdyni, jest fotografem i kronikarzem, ma kilka tysięcy zdjęć. Jest na statku hufiec harcerski, radio, przez głośniki nadaje się komunikaty.

—A kuchnia — mówi główny kucharz — jest . . . No co się będę chwalił, może pan spróbuje . . .

Gościnni i mili są marynarze polscy. Każdy ofiarowuje, co może: fotografie statków polskich sprzed wojny, zdjęcia fotograficzne własne, papier listowy "Piłsudskiego" i kartę pocztową "Batorego".

—A teraz panu coś pokażę — mówi por. R. z uśmiechem — chodźmy tu. Proszę niech pan patrzy. O tu, na szocie.

—Na czym?

—No, na szocie, na żelaznej ścianie.

Na "szocie" wisi gazeta. "Dziennik żołnierza A.P.W. Wydanie polowe" . . .

Marynarze odprowadzają mnie przez "Portową" /główny korytarz — pamiątka z Gdyni/. Ale przez "portę" wyjść nie sposób. "Trap" jest zajęty, ładują się żołnierze. Decyzja zapada szybko. Trzeci bezpieczeństwa wchodzi do jakiejś kajuty, klęka na "koji" i wychyla się przez "bulaj".

—Zgadza się! — woła — Wyładowują skrzynie!

I po chwili, na jednej ze skrzyń, w siatce, opuszczanej przez dźwig, zjeżdżam w dół. Uśmiechnięte twarze marynarzy, machające ręce zostają w górze — w bulajach, w porcie, przy trapie, na midszipie i nawet w okienkach mesdeków . . .

LUDWIK BRZESKI

Księżyc nad Nowym Jorkiem

Wpłynęliśmy do portu wczesnym rankiem, kiedy miasto jeszcze spało, a szare słupy drapaczy chmur wbite w mgłę poranną i dymy snujące się nad Manhattan, usiłowały podtrzymać pułap, który zniżał się do coraz to niższych pięter i wreszcie przepadł gdzieś w głębokich przełęczach ulic. I nawet nasze porykiwania syreną nie zdawały się budzić kogokolwiek. Czasami tylko mijając martwe kamienne kolosy, które stanęły nieruchomo tuż nad rzeką i kanałem, z wysokości mostku dojrzeć można było w otwartym oknie postać przyglądającą się płynącemu statkowi i krzątającym się na pokładzie marynarzom.

Zacumowaliśmy się do nabrzeża w Hoboken i dzień szybko przeszedł wśród różnych odpraw lekarskich, celnych i wojennych, kiedy to kilkunastu przedstawicieli naraz usiłuje się przekrzyczeć i urzędować jednocześnie przy jednym stole w salonie, a chwilka ciszy następuje tylko wówczas, gdy steward napełnia kieliszki *"whiską"*.

I nadszedł wieczór. Załoga poza służbą wyszła na ląd i na statku zapanował spokój. Czasami na pokładzie słychać było kroki wachtowego marynarza, lub z którejś z kabin dobiegła melodia radia. A poza tym, cisza.

Statek jak gdyby zmęczony parotygodniową podróżą, odpoczywał teraz przycumowany wieloma linami do nabrzeża. Kadłub leżał wygodnie rozłożony w wodzie, a za rufą w prądzie rzeki powstawały miniaturowe wiry, w których kręciły się w kółko szczątki jakiegoś listu, puszka po kondensowanym mleku i kilka płacht wieczorowego pisma. A gdy rzeką przepłynął spóźniony holownik, fala przez niego wzbudzona połączyła wiry w jeden, który spłynął w dół i znikł między palami wbitymi w dno rzeki.

Miasto po drugiej stronie błyszczało już światłami. Niektóre z nich zawisły w nieregularnych odstępach wysoko ponad resztą, zdawało się w chmurach, a jeszcze inne, bliższe sunęły po rzece.

Usiedliśmy z Pawłem na pokładzie na brzegu ładowni, przyglądając się w milczeniu drugiemu brzegowi. Po jakimś czasie, linia tamtego brzegu stawała się coraz to wyraźniejsza, tło z czarnego zmieniało się w pomarańczowo blade i po jeszcze jednej chwili zza nierównego horyzontu wychylił się opasły, pełny i pyzaty księżyc, a dymy, które znów przysiadły nisko nad miastem, nadały jego twarzy czerwonawą cerę.

Było spokojnie i cicho, i można było siedzieć, nie myśląc, nie mówiąc o niczym.

—O czym myślisz? — zapytałem Pawła.

—Ot tak, myśli błąkają się — odpowiedział. A po chwili zagadnął: —Pamiętasz naszą poprzednią podróż? Pamiętasz, że w ciągu tych pięciodniowych ataków na nasz konwój, księżyc świecił tak samo jasno, jak dziś . . . Nawet o wiele jaśniej, bo nie przesłaniały go dymy. Jednej z tych nocy stałem przy działku na pokładzie szalupowym i zapatrzony w księżyc zapomniałem, że jest wojna, że jestem na statku i biorę udział w t.zw. Bitwie o Atlantyk. Zapomniałem, że lada chwila może nas trafić torpeda i że stoję tam po to, by się przeciw temu bronić. Myślałem o domu. I dopiero huk wylatującego w powietrze Belga, który płynął obok nas, doprowadził mnie do przytomności.

A później dwa inne statki dostały torpedy prawie w tym samym czasie. Wiesz, że oni nie mieli nadziei wyratowania się . . . Obydwa były motorowcami, i rozlana na powierzchni ropa paliwowa zapaliła się! A oni skakali w morze i smażyli się! Widziałem przy świetle księżyca, jak niektórzy próbowali nurkować, by dostać się do tratew. Wychylali się raz, dwa razy, a potem zachłysnąwszy się ropą — ginęli. Później unoszący się z pożaru dym zasłonił ich i nadał księżycowi taki sam czerwonawy kolor, jaki ma dziś . . .

A potem za bardzo zajęty byłem działkiem, ale dziś żal mi ich. A jednocześnie zadowolony jestem, że trafiono ich, a nie nas. Bo dziś o wiele więcej cenię sobie życie, niż na przykład, gdy byłem w Rosji. Może dlatego, że tam, gdy parokrotnie po prostu zdychałem z głodu, przytępiło to umysł i możność rozumowania. Dziś jest zupełnie inaczej. Tam dzień każdy przedłużał tylko konanie; najmniejsza nawet iskierka nadziei nie błysnęła, nie było celu żyć. A tu, na morzu, gdy przez dwa-trzy tygodnie żyjemy na dwu tysiącach ton dynamitu, który w każdej chwili zapalony torpedą może z nami wylecieć w powietrze, gdy nas zaatakują — mózg, poza kontrolowaniem normalnych w tych wypadkach czynności, opanowany jest myślą: Ja chcę żyć! Nie dlatego bym się tak bardzo bał śmierci — u nas przyjdzie ona tak nagle, że nawet bólu nie będzie — ale dlatego, że wiem, jak bardzo jesteśmy potrzebni; i statek nasz i my. A poza tym, wydaje mi się, że nie było by celu przechodzić przez łagry rosyjskie, po to, by nie móc nawet kiedyś na naszym statku wrócić do Gdyni.

Księżyc na chwilę schował się za szczyt *Empire State Building*, który opromieniony aureolą, potężniał nad miastem jako symbol amerykańskich mocy i możliwości. Paweł mówił dalej.

—A jeszcze poza tym wszystkim, zgodzisz się ze mną, że jednak warto żyć. Choćby po to, by spędzić tu taki spokojny wieczór, jak ten. I wiele innych, jakie nas czekają. Pamiętasz, przed wojną płacono duże pieniądze za to, by móc zobaczyć Nowy Jork, "Słońce Afryki" lub fiordy skandynawskie . . . A my mamy to wszystko za darmo — żartował.

Jeszcze parę dni temu byliśmy atakowani. Ty siedziałeś na radiostacji, a ja w maszynowni; obydwaj zastanawialiśmy się jak będziemy wyglądać, lecąc przez powietrze. A dziś siedzimy tu bezpieczni. Jutro pojedziemy do Pelham; Ty będziesz przewracał oczy do Marysi, Bolek pewno wyciągnie paczkę czekolad dla Basi, a ja dwa kwiatki dla pani Wandy. I spędzimy jeden z tych tak miłych wieczorów w polskim domu, dziwnym cudem w całości, z nastrojami i zwyczajami, przeniesionymi z Kresów pod Nowy Jork. I będziemy w Polsce — choć na jeden wieczór.

Czyż nie warto choćby po to tylko przepłynąć Atlantyk?

Księżyc wypłynął w międzyczasie wysoko ponad nierówną linię drugiego brzegu, żeglując z powagą po niebie, a poświata jego połączyła obydwa brzegi rzeki srebrną kładką. Miasto po drugiej stronie nie spało, lecz tu z rzadka dobiegały odgłosy życia.

—Pamiętasz — zwróciłem się do Pawła — przed wojną śpiewano u nas piosenkę; coś o księżycu i morzu? Że świeci nad wszystkimi lądami i morzami. Przypomniała mi się teraz. Nam świeci tu w Nowym Jorku, a parę godzin temu świecił nad Kopcem w Krakowie . . . Tam o tej porze, gdy usiądziesz na Plantach, księżyc przemyka się przez liście kasztanów, by usiąść obok Ciebie na ławce. I jest Ci dobrze i spokojnie z Twoimi myślami . . . I nawet nie spodziewasz się kiedy zegary z kościołów późną godzinę wybiją, a Hejnał echem popłynie nad miastem . . . Jakie to teraz dalekie a wyraźne . . . Ileż to razy, w Afryce, na Islandii, daleko na południu czy północy prześladowały mnie te wspomnienia . . . Zawsze, gdy jest tak spokojnie, jak dziś i taki świeci księżyc, jak teraz. To chyba nie jest romantyzm, lecz zwyczajna tęsknota za krajem, co?

Paweł nic nie odpowiedział. Może nawet nie słyszał co mówiłem. Z łokciami na kolanach, głową opartą na dłoniach, siedział, patrząc w srebro rozlane na rzece. A trochę później, nic nie mówiąc wstał, poszedł i zamknął się w swej kabinie.

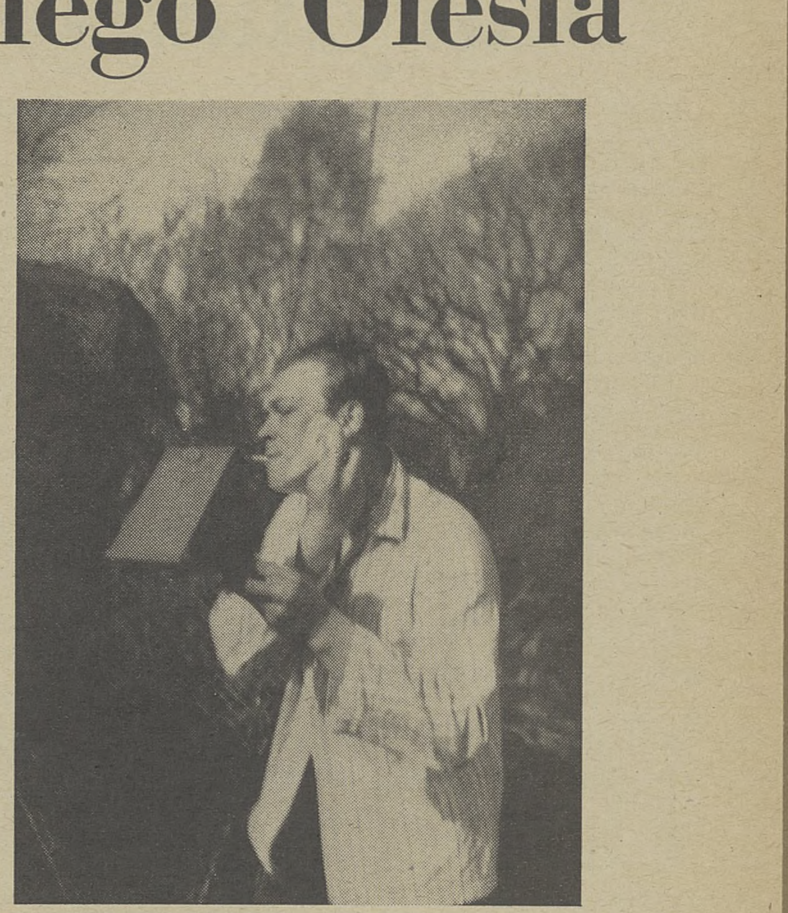
Zostałem sam z Księżycem płynącym wysoko nad Nowym Jorkiem, i myślami, które długo w noc mnie prześladowały . . .

STEFAN GAZEŁ

Szlemik bez atu "hrabiego Olesia"



Na lotnisku inwazyjnym



Ranna toaleta na świeżym powietrzu

Dnia 23 marca b.r. Naczelny Wódz udekorował Złotym Krzyżem "Virtuti Militari" mjr. Aleksandra Gabszewicza — było to pierwsze tego rodzaju odznaczenie w historii lotnictwa polskiego. Ze względów od nas niezależnych, dopiero dziś możemy ogłosić sylwetkę mjr. Gabszewicza, napisaną przez jego byłego podkomendnego i świetnego pisarza lotniczego, Gustawa Nierada. Artykuł jest jednak najzupełniej aktualny. Mjr Gabszewicz bierze udział w toczących się wypadkach wojennych na ważnym stanowisku tak, jak poprzednio — według słów Naczelnego Wodza — "bił się przeciwko Niemcom we wszystkich kampaniach tej wojny, na wszystkich frontach, gdzie lotnictwo polskie brało udział w bojach".

Kiedy mowa o trzech bez atu na czyjejś piersi, to zaraz wiadomo, że chodzi o "Virtuti", "Walecznych" i D.F.C. Do czterech bez atu dochodzi "Croix de Guerre", a jeszcze lepiej — D.S.O. /mocne cztery bez atu, nadróbki pewne/. Zbyt często wygrywane dwa bez atu /"Virtuti" i "Walecznych"/ nie uchodzi już dziś za fascynującą odzywkę i prowokuje pytanie: — "A pan z którego dywizjonu bombowego?" Myśliwcy najczęściej mają do pokazania proste trefle /pojedynczy "Walecznych"/. Na szczęście można mieć w karcie jeszcze mniej; "Krzyż Zasługi" — to słaba pomoc na bez atu, ale sam przez się do odzywki nie upoważnia.

A propos brydża: Karol sprawił sobie nowe karty i z nienawiścią spogląda na partnerów, którzy siadają do stolika nie umywszy rąk. Specjalnie żeby mu zrobić przykrość, zacząłem grać jego kartami bezpośrednio po reperacji roweru; Karol popatrzał na moje palce i zasyczał: — "Gdyby brud był atutem, miał byś w ręku koronę za czterysta".

Tymczasem Olek czystymi rękoma i bez pomocy kibiców robi wielką grę. Po ostatniej dekoracji pisała o nim cała prasa angielska i nawet w moim miejscowym "*East Cackling Times and Guardian*" znalazłem jego fotografię. Poznałem go tylko po czuprynie i barach, bo zdjęcie było z tyłu, a tytuł brzmiał: "*Polish Ace Fighter KAPRZEVICH*". Ale ta czupryna i bary to była pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Olka przed trzema laty. Już wtedy był o głowę wyższy i łopatkę szerszy od przeciętnego polskiego myśliwca.

Na *Mae-West'ce* miał wymalowane: "Hrabia Oleś", bo każdy z nas miał *Mae-West'kę* znaczoną imieniem lub przezwiskiem. Ale skąd się ten jego tytuł wziął, nie wiem. A w ogóle proszę nie liczyć na jakieś dane biograficzne: nie wiem, gdzie chodził do szkół, ale chyba nie długo /bo zdolny/; nie wiem, ile strącił, ile wypił, czy ma jeden czy dwa D.F.C. — to wszystko nie było dla nas ważne w *squadronie*. Ważne było to, że Olka się bali, bo było prawdopodobne, że jest bardzo silny; i, że go kochali, bo było pewne, że jest kochany chłopak.

Zapytałem Szumca, czy to zdanie nie wygląda na waselinę: — "Nię — uspokoił mnie — tylko wygląda, jak by chodziło o nieboszczyka". A to się świetnie składa, pomyślałem, bo nieboszczyk — to ja.. Czym że jest bowiem instruktor pilotażu w Torturton, jeśli nie umarłym dla świata?

Ale wróćmy do żywych. T.zn. — do Drinkholt, gdzie obecnie Olek króluje. Właściwie cesarzuje. — Króla tam już mają jednego, mianowicie Wacka. Wacek był kiedyś moim dowódcą *flight'u*, jeszcze zanim Olek był mi wodzem w *squadronie*. I tu mi właśnie przychodzi do głowy, że w nich obu musiało być coś podobnego, za co się ich kochało. Wacek był /podobno już nie jest/ — łobuz, awanturnik, lekkoduch, uwodziciel i pijanica. /No, nie potrzeba radzić się Szumca, czy to nie waselina!/. Kiedy po służbie wyjeżdżał do miasta swym "SS"em, to wiadomo było, że wróci nad ranem piechotą, a auta będziemy szukać na drugi dzień — całym *flight'em* — z powietrza. Wacek nawet ogólnych wskazówek nie mógł udzielić, w jakim kierunku szukać. Po "wyspotowaniu" samochodu w którymś z okolicznych rowów, posyłało się rzutem kołowym ekspedycję ratunkową z szefem mechaników i liną do holowania. A przecież po długich miesiącach takiej poniewierki Wacek sprzedał z zyskiem "SS" Leszkowi, który nawet jeździł tym wozem przez pewien czas po wymianie opon, silnika i karoserii.

Ale miałem mówić o Olku. Na złość Władkowi, który na wiadomość, że piszę artykuł na cześć Olka, zakrył oczy rękoma i jęknął: — "Wielkie nieba, straciłem przyjaciela!" Mimo swego oficjalnego pesymizmu, Władek nigdy nie przewidywał, że potrafię upaść tak nisko i z pióra robić kadzielnicę.

Otóż Olek nigdy nie dorównałby Wackowi w jego whiskokowej fantazji. Czyli, że nie trzeba pić, żeby móc dowodzić. Obaj są wytworni w manierach i uprzejmi wobec podwładnych. Czyli że grubiaństwo nie jest konieczną zaletą dowódcy. A przecież tak często mniema się, że wystarczy być pijakiem i grubianinem, żeby być dobrym dowódcą: "za pysk trzyma, ale przy kieliszku — przyjaciel".

Silniej można trzymać za serce, niż za pysk. I trzeźwy przyjaciel pewniejszy, niż pijany.

Kiedy Olka widziałem ostatnio w Drinkholt, był tak samo serdeczny i tak samo trzeźwy, jak za dawnych, squadronowych czasów. /Nawet zaszczytami nie wydawał się pijany/. I tak samo był — dziecięcy, *if you know what I mean*. Jest bowiem w życiu myśliwca jakiś tajemniczy czynnik, który nie tylko zapobiega starzeniu się, ale odmładza, a całą sferę życia uczuciowego utrzymuje w stadium zaraz po okresie dojrzewania. — "Zachowaj tę cerę dziewczęcą!" — mówi reklama mydła. "Zachowaj to serce dziecięce" — powinna głosić reklama myśliwców, gdyby reklama była potrzebna.

Taki na przykład charakterystyczny obrazek: stało sobie dwóch majorów — Olek i Staszek, w hallu messy Drinkholt. Stali, gadali, aż się zmęczyli i chcieli usiąść: nie było krzeseł pod ręką, więc co zrobili? — Usiedli na podłodze i gadali dalej.

A moja szatańska fantazja zaraz wyobraziła sobie dwóch majorów z Torturton w tej samej pozycji i już tej nocy spać nie mogłem, bo wciąż widziałem złowróżbne twarze torturtońskich rezydentów i przerażone twarze uczniów pilotów.

Olek, podobnie jak większość "ważnych", którzy lotami bojowymi weszli "na wysokość", wie dobrze, że autorytet to nie jest: kamienne oblicze, wyniosłość ruchów i wiara w własną świętość i nieomylność; że praca i wartość dowódcy nie mierzy się liczbą, statystyką ani wykazem; że — przede wszystkim — dowódcą jest się nie dla pożytku swoich przełożonych, lecz dla pożytku swoich podwładnych.

Ale, Boże broń, nie trzeba myśleć, że Olek był w naszych oczach jakimś posągiem idealnego dowódcy, bez wady i słabostki. Nie potrafiłby wzbudzić w nas tej miłości, jaką wzbudził, gdyby nie był jednym z nas, gdybyśmy widzieli go w jakiejś aureoli niedoścignionej i bezbłędnej doskonałości.

Olek, jak każdy z nas, lubi dużo jeść; jak większość myśliwców, lubi fotografować się w różnych pozach; jak wielu dowódców, lubił dramatyczne zwroty. Kiedyś na odprawie, mówiąc na temat: jeden za wszystkich — wszyscy za jednego, powiedział wzruszonym głosem: — "Bądźcie pewni, że ja gotów jestem poświęcić się za każdego z was". — "Uważaj, zaraz się popłacze" — mruknął cynicznie Antek. Ale i Antek i my wszyscy wiedzieliśmy, że Olek n a p r a w d ę gotów jest poświęcić się za każdego z nas; i to nie dlatego, że m y ś l a ł, że tak trzeba, tylko dlatego, bo tak c z u ł.

I dlatego dzisiaj do swego szlemika bez atu Olek może sobie zapisać najpiękniejszą koronę od swych squadronowych partnerów: . . . "miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic".

GUSTAW NIERAD

Uwaga dla p. Cenzora: nazwy stacyj Drinkholt i Torturton są zmyślone /jak sama nazwa wskazuje/.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ZBIÓRKI KSIĄŻEK

Do Redaktora "Polski Walczącej",

W numerze — doskonale redagowanego przez Jana Lechonia — "Tygodnika Polskiego" z dnia 27 lutego b.r., znalazłem w artykule pani Felicji Lilpop-Krancowej, p.t. "Od Kapistów do "Orła Białego" cytatę, z którą pragnąłbym zapoznać Czytelników "Polski Walczącej". Jest to wyjątek z listu nadesłanego z Bliskiego Wschodu przez Józefa Czapskiego, znanego malarza, prowadzącego obecnie dział oświatowy w armii polskiej rzuconej do tej części świata. Józef Czapski pisze do przyjaciół w Nowym Yorku: "Moglibyśmy piekło wybrukować obietnicami przysłania nam książek i druków z Londynu" . . . Mam nadzieję, że od czasu gdy Czapski pisał ten list, od czasu, zanim doszedł on do Ameryki, został opublikowany w lutym i t.d., aż do chwili obecnej /połowa czerwca 1944 r./ wiele się zmieniło na lepsze i że — chociażby tylko — dotarło do właściwych miejsc przeznaczenia na Bliskim Wschodzie tych parę tysięcy tomów książek polskich, które Czytelnicy "Polski Walczącej" nadesłali tak ofiarnie w odpowiedzi na apel skierowany do nich przed szeregiem miesięcy.

List Józefa Czapskiego przywołał mi na myśl ponownie sprawę zbiórki książek dla naszych Rodaków znajdujących się na Bliskim Wschodzie, która moim zdaniem, nie straciła *nic* na wartości. Może ktoś powiedzieć: "Co on tu wypisuje i ględzi znowu o zbiórce książek.. Przecież obecnie większość oddziałów naszej armii została przeniesiona do Włoch, gdzie walczy i nie ma czasu na czytanie książek". Nic podobnego — takie stanowisko jest jak najbardziej błędne. Żołnierz zawsze ma czas na książkę — to jedno. A — co ważniejsza — że nie wszyscy Polacy opuścili Bliski Wschód. Przeciwnie pozostał tam element, o który winno chodzić nam najbardziej. Pozostały dzieci i młodzież.

Toteż pozwoli mi Pan, Panie Redaktorze, zająć nieco miejsca w skrzynce pocztowej "Polski Walczącej", by zwrócić się ponownie — za jej łaskawym pośrednictwem — do wszystkich Czytelników "Polski Walczącej" z jak najgorętszą prośbą i apelem o nadsyłanie wszystkich zbędnych książek i druków polskich dla naszych rodaków przebywających na Bliskim Wschodzie. Znajduje się tam przecież sporo naszej młodzieży, której Opatrzność pozwoliła wyrwać się z okropnych warunków, w jakich znalazła się w czasie tej wojny. Ci młodzi mają obecnie możność kształcenia się. Jest rzeczą niezmiernej wagi, by mogli oni odrobić stracone lata, by stworzyć z nich zarybek nowego pokolenia inteligencji polskiej.

To jest rzecz o olbrzymim znaczeniu — nie waham się powiedzieć — dla przyszłości naszego narodu. Bo przecież cały wysiłek wrogów Polski skierowany jest przede wszystkim na zniszczenie, bezlitosne "wygolenie" z powierzchni świata, inteligencji polskiej. Chodzi o to, by pozostała jedynie niewykształcona masa polskich rąk do pracy, stanowiąca "bydło robocze" *Herrenvolku*. Do tego chcieliby doprowadzić nasz naród Niemcy. Wiadomości dochodzące z Kraju najdobitniej potwierdzają, jak pilnie ten szatański plan jest od kilku lat wprowadzany w życie. Robi się wszystko, by jak najwięcej młodzieży polskiej zdeprawować. Zamknięte szkoły, zniszczone biblioteki, a zamiast tego łatwość w nabyciu wódki i pornograficznych wydawnictw. A jako "ostateczny" środek, wiodący do celu — obozy koncentracyjne i egzekucje.

Tym bardziej więc, w tej sytuacji, winni jesteśmy uczynić wszystko, by bodaj ta część polskiego młodego pokolenia, która znajduje się poza zasięgiem wroga, wyrosła na ekipę jak najwartościowszą zarówno pod względem moralnym, jak i pod względem wykształcenia i zasobu posiadanych wiadomości. A do tego przyczynić się może w wielkiej mierze polska książka. Więc gromadźmy wszelkie książki polskie, jakimi tylko rozporządzamy i posyłajmy je — korzystając z pośrednictwa Redakcji "Polski Walczącej" — Polakom znajdującym się na Bliskim Wschodzie. Niech idą one z rąk do rąk polskich dzieci, polskiej młodzieży, niech pomagają w pracy nad daniem im jak najwięcej wiadomości o Polsce i jej kulturze, nad stworzeniem z nich posiłków, mających wypełnić wyrwy i luki powstałe w szeregach inteligencji polskiej w latach obecnej wojny.

Do listu tego pozwalam sobie załączyć kilka książek polskich. Oby mogły one rozpocząć nowy etap zbiórki książek dla Polaków na Bliskim Wschodzie tak pięknie prowadzonej przez Pańskie pismo, Panie Redaktorze.

Łączę wyrazy szacunku

Stefan Żurowski

Dołączono następujące książki: "Wielka Brytania" /praca zbiorowa Pen-Clubu/, Mieczysław Lisiewicz: "Kroniki naroczańskie", Jerzy Pietrkiewicz: "Umarli nie są bezbronni".

NIE "ŚLĄZAK" ALE "KRAKOWIAK"

Szanowny Panie Redaktorze,

W tygodniku żołnierskim "Polska Walcząca" z dnia 27 maja r.b. w artykule "Wojna na morzu" w rubryce "Polska marynarka wojenna" napisano takie słowa: "Ślązak" brał udział w akcji na Dodekanezach".

Autor artykułu "Wojna na morzu" popełnił błąd, gdyż na Morzu Egejskim w bitwie o Dodekanezy brał udział O.R.P. "Krakowiak", a nie O.R.P. "Ślązak". Sześć tygodni piekła przeszła załoga O.R.P. "Krakowiak" i nie wiem dlaczego akcję tę, którą jedno z brytyjskich pism nazwało filmem, którego nie da się nakręcić — przypisuje się innemu okrętowi. Czyżby autor artykułu pomylił się? Przed kilkoma tygodniami do jednego z członków załogi O.R.P. "Krakowiak" przyszło pismo z Ameryki. W piśmie tym była zamieszczona cała strona /około dziesięć fotografii/ z życia Marynarki Wojennej. Wszystkie zdjęcia robione były na O.R.P. "Krakowiak", a w piśmie tym tytuł brzmiał: "Fotografie bohaterskiej załogi O.R.P. "Ślązak" po walce o wyspy Dodekanezu". Nie dziwię się korespondentowi amerykańskiemu, mógł się pomylić w nazwie okrętu, ale tutaj to już wypadek nie do przemilczenia.

Jako jeden z marynarzy i do tego członek załogi O.R.P. "Krakowiak", który w dodatku od początku do końca akcji był w ogniu walk na Archipelagu Dodekanezkim — mogę śmiało powiedzieć, że wyrządza się nam krzywdę. Takimi nieopatrznymi słowami można poróżnić załogi. Każdego dnia słyszę teraz żarty i kpinki wśród marynarzy. Kiedy załogi O.R.P. "Ślązak" i "Krakowiak" wychodzą na ląd, z "Krakowiaka" wołają: . . . "Jak tam, bohaterzy z Dodekanezów!?" A tamci się rumienią. Za co? — Za to, że ktoś mylnie podał w komunikacie . . .

Przykro, bardzo przykro. Wszyscy jednakowo walczymy i w sprawozdaniach z naszych akcji należą się nam jednakowe słowa.

Z poważaniem

Mieczysław Tatarynowicz

W SPRAWIE BROSZURY: "ABBEY IS OURS"

Chicopee Falls, Mass., U.S.A.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ministerstwo Informacji wydało ostatnio broszurkę w języku angielskim, p.t. "Abbey is ours". Broszurka ma na celu spopularyzowanie zwycięstwa polskiego na Monte Cassino. Spece propagandowi z naszego Ministerstwa, doceniając znaczenie strony ilustracyjnej umieścili w tekście osiem fotografii o następującej tematyce:

1/ N.W. gen. Sosnkowski w czasie inspekcji we Włoszech; 2/ gen. Anders; 3/ Grupa żołnierzy pozująca przy dziale plot. gdzieś we Włoszech; 4/ Pokaz wynoszenia rannego na tle jakichś ruin; 5/ gen. Sikorski w czasie inspekcji w Tobruku; 6/ i 7/ Polskie wojsko ćwiczące się w Rosji. Słowem ani jednego zdjęcia z polskich walk na Monte Cassino!

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Eugeniusz Romiszewski

Przyp. Red.

Zarzut zawarty w tym liście jest tylko pozornie słuszny. Broszura została przygotowana i ogłoszona, zanim zdążyły nadejść materiały z Włoch — jej założeniem był pośpiech. Drugie wydanie zawiera już fotografie z pola bitwy. Niezależnie od tego jest w opracowaniu obszerne wydawnictwo o walkach II. Korpusu we Włoszech.

Bez blackoutu

Dostałem przed kilkoma dniami trzy listy: z Włoch, Indii i . . . z Blackpool. Z Włoch pisze dawny dobry przyjaciel z czasów lwowskiej młodości kpr. A.L., z Indii pani Maria /Polish Camp Kolhapur/, a z Blackpool lotnik polski F.B. Wszystkie trzy listy, choć z tak różnych pochodzące stron i od różnych ludzi, stanowią ciekawy dokument dziwnych podobieństw, sięgających czasem bardzo głęboko w treść życia wojennego Polaków. Podobieństwa te podzieliłbym na uczuciowe i . . . aktualne.

Z jednej i tej samej tęsknoty do polskiego słowa, do polskiej książki pochodzą zdania listu z Włoch i listu z Indii:

"... Odczuwamy straszliwy brak książek i czasopism. Dziękuję ci za przesłane gazety choć przestarzałe, ale przeczytanie dobrego artykułu choć po dwóch miesiącach, należy zaliczyć do wielkich przyjemności na froncie. Najchętniej czytałbym tu "Polskę Walczącą", ale brak . . ." /kpr. A.L./.

"... Brak nam straszliwie książek, nut, jakichś sztuk scenicznych brak nam nowych, mocnych, aktualnych rzeczy, które poruszyłyby obozową apatię. Wpadamy w nią, no choćby z powodu klimatu. Delegatura kapie nam od czasu do czasu książkami, ale to mało, wszystko mało. W świetlicach wszystko wyczytane dziesięciokrotnie, niemal zjedzone przez chciwe ręce czytelników . . . Sama przyznaję, że kiedy po pracowitym dniu wracam do naszej sadyby z mat, obrosłej powojami, a mam w kieszeni choćby jakąś broszurkę do przejrzenia, uśmiechamy się do siebie . . . Słońce zabiera nam siły, wtrąca nas w jakiś sen letargiczny. Nie wolno nam usnąć za żadną cenę. Zbliża się sześć miesięcy monsumu. Grzyby pod łóżkiem, pleśń na ścianach i w walizkach . . . Po tym, co się przeszło — to niebolesne. To tylko przykre. Jeżeli zatem może Pan w jakiś niepojęty sposób przysłać nam trochę książek, a może . . . "Etiudy" Chopina, będę uważała, że bajki się nie kończą . . ." /p. Maria z Indii/.

Waszym dobrym sercom i wypróbowanej ofiarności, Kochani Czytelnicy i Koledzy, polecam te dwie, jakże podobne do siebie, prośby. Kto chciałby pomóc mi w wysyłce książek, przeczytanych broszur, polskich nut dla p. Marii w Indiach i czasopism oraz książek dla kpr. L. i jego baterii we Włoszech, proszę o nadesłanie ich na moje nazwisko do redakcji "Polski Walczącej". Chcę uwierzyć wraz z p. Marią, że "bajki się nie kończą". Ofiarodawcom z góry za pomoc dziękuję.

A teraz przyjrzyjmy się podobieństwom mniej może uczuciowym, mniej romantycznym, które nazwałem podobieństwami aktualnymi. Posłuchajcie Koledzy listu lotnika F.B. z Blackpool, który załącza wycinek z pisma angielskiego z notatką p.t. "Prisoners passionately pro-Hitler":

"... Po krótkich wzmiankach o bitności polskich żołnierzy we Włoszech odezwały się znowu w całej prasie angielskiej głosy nieprzychylne nam, a mające na celu doczepienie do szyldu "antysemityzmu" nowego szyldu "faszyzmu" a nawet "pro-hitleryzmu". Otóż w związku z ostatnimi wypadkami wyszukuje się pro-hitleryzm wśród jeńców Polaków wziętych do niewoli w Normandii, czego przykładem jest załączony wycinek z miejscowej prasy. Ja i moi koledzy w lotnictwie /wielu z nich było przymusowo w armii niemieckiej lub w organizacji Todta/ zapytujemy pana, czy możliwe jest przeciwdziałanie lub prostowanie tych złośliwych wiadomości przez akcję czynników oficjalnych, Ministerstwa Informacji lub naszych korespondentów wojennych?"

Tyle list lotnika z Blackpool. A teraz posłuchajcie wynurzeń kaprala A.L. w liście z Włoch:

"... Gdyśmy przybyli tutaj do Włoch mieliśmy markę taką, jaką tylko Niemcy mogli nam najgorszą wystawić. Czułej na katolicyzm ludności przedstawiono nas jako pogan, rabusiów, nożowników i t.p. Początkowo ludność uciekała od nas, bo się bali. Nic dziwnego! Powoli jednak zaczęli się przyzwyczajać do nas. Widząc, że codzień rano i wieczór śpiewamy modlitwę, pojęli, że z tym "pogaństwem" nie jest tak źle. Gdy następnie nasi chłopcy wstępowali do kościoła i modlili się, Włosi patrzyli na nas ze zdumieniem, po czym powoli zaczęli podchodzić do nas, wypytując i dziwiąc się temu, co opowiadamy. W miasteczku, opodal którego stoimy, jest bardzo dużo uciekinierów z Cassina. Nasza bateria jest bardzo szczupła, ale mamy "nasze" dzieci, które stale przychodzą pod naszą kuchnię. Nigdy one o nic nie proszą, sami im znosimy i napełniamy ich naczynia, oprócz tego dostają boczek, chleb, ciastka, które kupujemy w N.A.A.F.I. Początkowo były to dzieciaki bardzo brudne; dziś są to na pewno najczyściejsze dzieci tułacze. Daliśmy im mydło a nawet pastę do zębów i teraz nasza Elena i Lina, Ginia i Mario mogą służyć za wzór czystości . . . W kościele w miasteczku odbywają się obecnie majowe nabożeństwa i po włoskim nabożeństwie nasi chłopcy śpiewają polskie pieśni majowe a Włosi nie wychodzą z kościoła wcześniej aż Polacy skończą. Jak widzisz, od "pogaństwa", w które ubrali nas Niemcy, do tego wspólnego nabożeństwa, jest duży postęp i chyba cieszysz się tym . . ."

Drogi Przyjacielu Adamie. Cieszę się tym, gdyż to jest dowód jeszcze jednej klęski tych perfidnych bomb propagandowych, "robotów" Piątej Kolumny, wypuszczanych przeciw nam z różnych stron bez pilota — od początku tej wojny. Niewątpliwie sięgają te bomby dość daleko — od Włoch do Wielkiej Brytanii i nie ominęły nawet obozów żołnierskich na tutejszym terenie, dokąd przybywają transporty Polaków tak tragicznie doświadczonych w tej wojnie: braci naszych przymusowo wcielonych do armii niemieckiej. Przeciw nim tajemnicze "roboty" bez pilota wytoczyły całą kampanię. Jestem pewny, że te bomby pochodziły z bardzo różnych fabryk, ale ponieważ były dobrze maskowane, udało im się na krótką chwilę zaczarować niektórych Brytyjczyków. A ci przypominali owych Włochów przerażonych "pogaństwem" i "nożownictwem" żołnierzy II Korpusu Polskiego. Wyrażam głębokie przekonanie, że niedaleki jest czas, gdy Brytyjczycy wraz z naszymi braćmi, cudem ocalonymi z armii niemieckiej, odprawią wspólne majowe nabożeństwo. A warto, żeby posłuchali, jak śpiewają oni pieśni polskie. Ale o tym później.

List lotnika F.B. przyszedł bardzo w porę. Dawno trzeba było nie tylko na łamach pisma żołnierskiego poruszyć tę sprawę. Apel lotnika pod adresem Ministerstwa Informacji i korespondentów wojennych przekazuję pod właściwym adresem. Jeżeli chodzi o "Polskę Walczącą" muszę stwierdzić, że do niedawna stała na przeszkodzie tajemnica służbowa, która uniemożliwiała pisanie o przybywaniu transportów z tak zwanymi niesłusznie i ohydnie "Rommlowcami" — Polakami z armii niemieckiej. Pragnąłem bardzo kiedyś napisać reportaż, zaraz po pierwszym zetknięciu się z tymi ludźmi, po przybyciu pierwszej grupy jeszcze "afrykańskiej". Dzisiaj, choć ten reportaż jest spóźniony, chcę zaapelować do Kolegów-Czytelników, żeby przede wszystkim gdzie mogą i jak mogą tępili bolesną i z punktu widzenia polskiej racji stanu bezsensowną nazwę: "Rommlowcy". Przyznać trzeba, że nie mamy szczęścia do pomysłowych skrótów określeniowych.

Polacy przybywający z armii niemieckiej oczekują i na pewno znaleźli z naszej strony potrzebną im ochronę. Szczególną jednak powinniśmy otoczyć ich opieką w tym momencie, gdy mogą się czuć . . . jak Polacy we Włoszech /patrz list kaprala A.L./ pokrzywdzeni przez pewną część opinii brytyjskiej, która na pewno prędzej czy później — jak owi Włosi — zawstydzona przyzna się do błędu.

Wy, Czytelnicy-Żołnierze, poznaliście chyba najlepiej naszych nowych kolegów. Wiecie jak cenne walory wnieśli oni do szeregów: są bardzo chętni, są zdyscyplinowani, cieszą się niezwykle pochlebnymi opiniami dowódców, w olbrzymiej większości mówią pięknie po polsku, a że śpiewają uroczo nasze stare pieśni polskie mogę sam poświadczyć jako, że na wszystkich powitalnych przedstawieniach "Lwowskiej Fali" śpiewałem piosenki razem z nimi. Ten ich śpiew szeroki, mocny, po śląsku zawadiacki, po pomorsku rzewny, zawsze w zdumienie wprowadzał obecnych na sali oficerów brytyjskich w obozach przejściowych. Po jednym z koncertów podszedł do mnie Brytyjczyk i powiedział otwarcie: — "W czasie tych śpiewów przekonałem się dzisiaj, że to są ludzie związani z Polską od dawna i na zawsze".

Tak jest. Od dawna i na zawsze. Może nie prędko otwierają swoje serca, które tak długo musiały milczeć pod obcym mundurem. Rany ciężkich przejść ludzkich nie prędko się goją i nie w każdej atmosferze. Trzeba im serdeczności bratniej i pomocy w chwili, gdy wita ich czasem na tym terenie drukowana brednia á la "Prisoners passionately pro-Hitler". W takim momencie opowiadajcie im koledzy na pocieszenie autentyczną historyjkę o polskich "poganach" we Włoszech. Jestem pewny, że wytrzymamy ataki bomb propagandowych, tylko musimy trzymać się razem, musimy wierzyć sobie i wzajemnie pomagać. O takim wzorowym nastroju pracy zespołowej pisze w swoim liście kapral A.L. z Włoch:

"... Rozmawiałem z saperami, którzy przyszli na odpoczynek . . . Za tydzień pójdą znów, a jak sumiennie się tymczasem przygotowują, jak się dzielą spostrzeżeniami i doświadczeniem. Żebyś wiedział, jak się ludzie zżywają w warunkach frontowych. Gdy któregoś zespołu nie ma długo, to już wychodzimy na drogę, już się rozpytujemy czy cali i zdrowi. A wracają czarni lub biali od kurzu, wzrok zmęczony i zaraz wypytywanie. A jak starannie pracują, aż miło tak się kontrole zgadzają".

Włosi czekają na skończenie majowych pieśni polskich w kościele i otwierają gęby ze zdumienia na widok polskich "pogan", opiekunów Liny, Maria i Ginia. Będą i inni otwierali gęby, gdy niedługo na froncie zachodnim w przeddzień klęski niemieckiej siły i niemieckiej propagandy, staną ramię w ramię w dobrze zgranym zespole: Polak uratowany z łagru rosyjskiego i Polak wyzwolony z armii niemieckiej, gdy wraz z Wami, Koledzy z Pierwszej Dywizji Pancernej "passionately" będą kropić hitlerowskich niedobitków w samym sercu Europy. Tak jak odpowiedzią na pewne znane oszczerstwa były polskie pola bitew we Włoszech, tak ostateczną odpowiedź na wszystkie inne brednie i kłamstwa da żołnierz polski na froncie zachodnim.

Naszym zadaniem w chwili obecnej było jedynie zwrócenie uwagi na charakterystyczne, dziwne podobieństwa pewnych aktualnych sytuacji na różnych, oddalonych od siebie, a zawsze jednakowo ważnych polskich posterunkach żołnierskich.

WIKTOR BUDZYŃSKI

"Gawędy żołnierskie"

Wykazujący dużo ruchliwości Wydział Prac Kulturalno-Oświatowych Min. Obr. Nar. przystąpił ostatnio do wydawania czasopisma "Gawędy żołnierskie". Czasopismo to, jak głosi dopisek na stronie tytułowej, poświęcone jest zagadnieniom wychowania w polskich siłach zbrojnych.

Sprawa wychowania w naszych siłach zbrojnych, a ściślej się wyraziwszy: sprawa stosunku podwładnych do dowódców i na odwrót, problem pojmowania swych uprawnień i obowiązków przez jednych i drugich, urósł do rozmiarów kapitalnego zagadnienia nie od dzisiaj, ani nawet nie ostatnio. Stał się on problemem o ogromnym znaczeniu już od pierwszych chwil, gdy znaleźliśmy się na emigracji, gdy wszyscy, zarówno dowódcy jak i podwładni, mieliśmy możność zetknąć się bliżej z różnymi armiami alianckimi, gdy mieliśmy możność wejrzeć bliżej w ich organizację i przyjrzeć się stosunkom w nich panującym.

Przyznać trzeba, że pod wpływem tych obserwacyj, nie raz gorzkie ogarniały nas uczucia. Ale, aby nie popaść w jednostronność, spróbujmy uświadomić sobie i przypomnieć, jak ten problem u nas narastał, jakim i jak wielkim przemianom ulegał i wreszcie — jak sprzeczne mieliśmy w różnych okresach czasu poglądy na drogi i sposoby rozwiązania tego problemu.

Dziś możemy i powinniśmy mówić o tym bez uraz i bez fałszywego wstydu. Zatem przypomnijmy sobie czasy francuskie, nasze zachłystywanie się z podziwu nad organizacją armii francuskiej, nad stosunkami w niej panującymi, nad swobodą żołnierza, nad tą okrzyczaną "dyscypliną wewnętrzną". Przypomnijmy sobie dalej, jak to zmieniliśmy zdanie o tym wszystkim, gdy opuszczaliśmy ziemię francuską, gdy znaleźliśmy się następnie na ziemi angielskiej, gdzie zyskaliśmy nowe pola obserwacji. I tu, na ziemi brytyjskiej, różnie bywało z naszymi poglądami na to zagadnienie, różnym one ulegały przeobrażeniom.

Po przeczytaniu pierwszych stron "Gawęd żołnierskich", jedną z pierwszych reakcyj myślowych jest uwaga, niepozbawiona zresztą złośliwości: dopiero teraz zdobyto się na to, by poruszyć te zagadnienia, czemu nie zrobiono tego wcześniej?! Po zastanowieniu się jednak, po uprzytomnieniu sobie tych różnych przeobrażeń, jakim ulegały nasze własne poglądy na te sprawy, przyjść musimy do wniosku, że może lepiej jest, że "dopiero teraz", bowiem wszyscy obecnie możemy dyskutować te zagadnienia spokojnie, bez uraz, bowiem wszyscy napatrzyliśmy się dużo tym sprawom, wszyscy mamy mniej więcej wyrobiony i ustalony na nie pogląd.

Z pierwszego numeru nowego czasopisma wojskowego trudno było by się zorientować, jaki jest jego program, jakim celom ma służyć. Program ten i cele wyjaśnia krótka, zwięzła, ale jakże treściwa przedmowa Ministra Obrony Narodowej, gen. Mariana Kukiela. Ponieważ przedmowa ta, poza zakreśleniem celów, jakim ma służyć nowe czasopismo, nadaje niejako prawo obywatelstwa, prawo otwartego dyskutowania spraw b. żywo obchodzących całą naszą społeczność emigracyjną, przeto konieczne wydaje się przytoczenie jej w obszerniejszym skrócie. Mówiąc o moralnym obliczu naszych sił zbrojnych, gen. Kukiel pisze w swej przedmowie:

"Nowym wojskiem, czerpiącym ducha i formy raczej z własnej powstańczej tradycji, niż ze współczesnych wzorów obcych, miało być w myśl Komendanta Piłsudskiego to wojsko, które wskrzeszał. Buntował się przeciwko takim nawet koniecznościom, jak wyodrębnienie korpusu oficerskiego a później podoficerskiego. Ducha kastowego nie znosił. "Dystansów" między żołnierzami różnych stopni nie uznawał i nie cierpiał, tego ducha jedności i braterstwa w szeregach usiłował wpoić w tworzące się wielkie wojsko Rzeczypospolitej odrodzonej.

"Generał Sosnkowski, jako minister spraw wojskowych, i Generał Sikorski, jako szef sztabu generalnego, podjęli wtedy ogromną pracę, by wojsko to, z tylu różnych elementów powstałe, zamalgamować, zespolić, by ukształtować odpowiednio jego korpus oficerski i wzbudzić w nim świadomość jego misji wychowawczej w wojsku narodowym.

"W "sekcjach wychowawczych" Towarzystwa Wiedzy Wojskowej rozwinęła się wtedy myślowa praca bujna i płodna. Nie było zagadnienia z tej dziedziny, którego by nie poruszono, nie studiowano.

"Osiągnięto dużo. Nie wszystko, co było do osiągnięcia, i nie wszystko, co odpowiada potrzebom dzisiejszej chwili, odmiennych czasów, odmienionego składu wojska.

"Nie jesteśmy nawet pewni, czy wtedy, we wczesne lata dwudzieste, nie byliśmy bardziej zaawansowani niż dzisiaj. Bo wtedy byliśmy po świeżych, długich wojennych przeprawach, które nie tylko dają doświadczenia i narzucają zagadnienia, lecz także łączą węzłem serdecznym braterstwa broni dowódców i podkomendnych, żołnierzy z gwiazdkami i bez gwiazdek.

"Czasy pokojowe sprzyjają oddalaniu się od siebie elementów składowych sił zbrojnych. Odrębnym życiem żyją zawodowe kadry oficerskie, odrębnym podoficerowie, odrębnym szeregowi roczników poborowych, odrębnym znowu rezerwy różnych stopni.

"I trzeba ogromnego duchowego wysiłku wielkiej masy ludzi, by nie uronić w lata pokoju lub wojennego pogotowia za frontem, tych wartości, które wytwarza braterstwo broni w polu i w walce.

"Gruntownie, metodycznie pod względem wychowawczym przygotowali Niemcy swe odrodzone siły zbrojne.

"Ogromnego wysiłku dokonali w kierunku pogłębienia i rozwiązania zagadnień psychologicznych i wychowawczych Amerykanie.

"Brytyjczycy w naszych oczach przeobrażają swój obyczaj wojskowy zgodnie z nakazami nowych czasów.

"Trzeba o tych sprawach myśleć z odwagą i patrząc w jutro. Nie obawiać się przemian, ani zastępowania przeżytych kształtów nową treścią i formą.

"Czasopismo niniejsze — wolna trybuna dla myśli wojskowej w sprawach wychowawczych — otwiera drogę do twórczej dyskusji. Jest ona potrzebną.

"A "Gawędy żołnierskie" niech znajdą szeroki oddźwięk w gawędach żołnierzy o wielkich zagadnieniach ich powołania".

Zagadnienia wychowawcze w wojsku są dziedziną otwartą, przedstawiającą olbrzymie pole do działania i rzeczywiście wymagającą "ogromnego wysiłku wielkiej masy ludzi". Cały program wychowawczy wojska zamyka się właściwie w tych prostych słowach przedmowy: "Trzeba o tych sprawach myśleć z odwagą i patrząc w jutro. Nie obawiać się przemian, ani zastępowania przeżytych kształtów nową treścią i formą".

Jeśli chodzi o pierwszy zeszyt "Gawęd żołnierskich", to można z przyjemnością stwierdzić, że mają miłą, poręczną formę zewnętrzną a nadto odznaczają się starannością wydania. Nie zamierzamy tu, ze względu na brak miejsca przede wszystkim, omawiać poszczególnych artykułów, zawartych w pierwszym zeszycie "Gawęd żołnierskich". Po przeczytaniu tego zeszytu nasuwa się jednak uwaga, że główne artykuły nastawione są zbyt może pryncypialnie na rolę i zadania dowódcy-oficera, przy czym wyczuwa się dążność podkreślania jego zadań wychowawczych. Nie należy z tego wysnuwać zarzutu jednostronności traktowania zagadnienia, bo zrozumiałą jest rzeczą, że w pierwszym zeszycie nie da się poruszyć wszystkich stron zagadnienia. Niemniej można tu przytoczyć czyjeś trafne powiedzenie, że . . . "od starszego podoficera można i należy nieraz więcej wymagać, niż od młodego oficera".

Poza tym zagadnienie wychowania w wojsku — w sensie dyskusyjnym — nie może się ograniczać tylko do wychowywania podwładnych. Wychowywać się musimy wszyscy: zarówno podwładni, jak i dowódcy. Jeśli mamy zastąpić przeżyte kształty nową treścią i formą — należy podejść do całego zagadnienia bez skrupułów. Nikomu to ujmy nie przyniesie, a "Gawędy żołnierskie" mogą oddać tej sprawie wielką przysługę.

Przytoczyć tu jeszcze można powiedzenie jednego z wyższych stopniem oficerów dyplomowanych, który stwierdził, że wielką luką w programie nauki w podchorążówkach w Polsce był brak takiego przedmiotu, jak psychologia. Dowódca-oficer miałby w dużym stopniu ułatwione zadanie dowodzenia, gdyby już w podchorążówce wiedział, ile należy, o psychologii mas, o reagowaniu mas czy grup ludzi, poddanych jego kierownictwu. Słuszne jest twierdzenie, że dowódcą trzeba się urodzić, ale nie wszyscy mianowani na dowódców są nimi z urodzenia, wielu musi się nauczyć, jak należy dowodzić, jak należy podchodzić do ludzi przy dowodzeniu nimi. I to na każdym szczeblu dowodzenia, nie tylko oficerskim.

Sądząc z całości treści pierwszego zeszytu i z przedmowy min. Kukiela, "Gawędy żołnierskie" spełnią dobrze swe zadanie. Pożądane by było, aby poszczególne zagadnienia poruszane w "Gawędach" znalazły szerszy oddźwięk i dotarły do żołnierzy — choćby w czasie pogadanek wychowawczych, jakie dowódcy miewają programowo ze swymi pokomendnymi. Żołnierz polski ma zaufanie do swego przełożonego i otwarte dyskutowanie z nim pewnych zagadnień nie zdemoralizuje go, wprost przeciwnie — zaufanie to jeszcze podniesie. Żołnierz polski posiada walory, jakich być może nie posiadają żołnierze innych armii. Dowiódł tego już tylokrotnie w czasie obecnej wojny.

Ukazanie się "Gawęd żołnierskich" należy powitać z uznaniem, jako przedsięwzięcie nie tylko celowe, ale i odważne. Do rozpowszechnienia poruszanych na ich łamach zagadnień przyczyni się niewątpliwie apel o nadsyłanie listów, zawierających nowe, twórcze myśli, spostrzeżenia i projekty.

KAROL BOBAK

Poradnik żołnierski

Sprawa amnestii. — Zapytuje Pan, czy ogłoszona ostatnio amnestia, udzielona przez Prezydenta R.P. z okazji święta narodowego 3-go Maja, dotyczy również żołnierzy ukaranych dyscyplinarnie /n.p. 14 dni aresztu ciężkiego lub 28 dni lekkiego/ przez poszczególnych dowódców oddziałów.

Niestety — nie. Kary dyscyplinarne pod amnestię nie podpadają. Amnestia z dn. 3-go Maja obejmuje tylko kary z wyroków sądów wojskowych.

Kpr. W. Pl. — Sprawa pomocy dla rodzin. — Zapytuje Pan "czy jest możliwość otrzymania pożyczki bądź zaliczki dla rodzin zamieszkałych na terenach Anglii" . . . i prosi Pan o podanie adresu odpowiedniej instytucji.

Nie wyjaśnia pan dokładnie, czy chodzi o żonę i dzieci, czy też o pomoc dla innych osób, jak rodzice, bracia, siostry i t.d. Jeśli chodzi o żonę i dzieci, to wyjaśniliśmy już tę sprawe w "Poradniku" w nr. 20-ym "Polski Walczącej" z dn. 20 maja r.b.

Zgodnie z pańskim życzeniem podajemy adres: Wydział Rodzin Wojskowych M.O.N., Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1 i do tej instytucji należy się zwracać o zasiłki i wszelką pomoc dla rodzin żołnierzy. Ani zaliczek ani pożyczek Wydział nie udziela. W wypadkach wyjątkowych udzielane są skromne zapomogi.

Dla Polaków w Rosji: £10,978

Były Komendant Kwatery Głównej . . . Brygady Kadrowej Strzelców zawiadamia Kolegów że po całkowitej likwidacji — wpłacił pozostałość z Kasyna Oficerskiego w kwocie £7.12.8 na Pomoc Polakom w Rosji — zgodnie z uchwałą Korpusu Oficerskiego.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £7.12.8 /słownie: siedem funtów, dwanaście szylingów i osiem pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,978.1.4 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt osiem funtów, jeden szyling i cztery pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA PACZKI DLA RANNYCH

Obecni na przedstawieniu, zorganizowanym przez obóz P.S.W.K. i . . . Kurs Lotników Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej zebrali kwotę £14.16.11 na paczki dla rannych żołnierzy II. Korpusu.

Pieniądze proszę przekazać P.C.K.

Oficer oświatowy J.

NA PACZKI DLA JEŃCÓW PRZEZ P.C.K.

Ochotniczki Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet na R.A.F. Station w R . . . po wysłuchaniu pogadanki oficera oświatowego o życiu polskich żołnierzy w obozach jenieckich w Niemczech, samorzutnie zebrały kwotę £5.17.0 na paczki od serca, którą przekazujemy za pośrednictwem "Polski Walczącej" do P.C.K. w Londynie.

Dnia 27.6.1944 r.

. . . Squadron P.S.L.K. w R.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

The Reverend Father Corner, Vicar of Filey, in whose graveyard three Polish Soldiers were buried, has refunded his fee of £1 with the request that it may be used for the benefit of the Poles.

Accordingly, it has been donated to the Polish Children Rescue Fund.

C.O. Field Squ. Polish Eng.

* * *

Przesyłam £1 /jeden funt/ jako ofiarę na biedne dzieci. Suma ta nieprzyjęta przez Ks. Kapelana za odprawioną Mszę Św. za duszę ojca i brata.

Skowron Marceli

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej" Londyn,

Szanowny Panie Redaktorze!

Z rozkazu D-cy Szw. Szt. przesyłam Panu 56 książek z tut. biblioteki z prośbą o przesłanie ich dla oddziałów W.P. na Wschodzie.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Podoficer Opieki Szwadronu Sztabowego

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam w załączeniu dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie: 1 książkę i 2 broszury.

Z poważaniem

R. Budrewicz

Załączone: "Z pierwszej linii frontu", "Opowiadania o nas wszystkich", "Walki w obronie granic".

* * *

Bezimiennie: C. Jeśman: "Klejnot srebrzystych mórz", "Jednodniówka" i 5 egzemplarzy "Myśli lotniczej".

* * *

Bezimiennie: T. Lubicz: "Drugi front", E. Wallace: "The Four Just Men", Duchess of Atholl: "Searchlight on Spain", S. Freud: "Psychopathology of Everyday Life", 6 miesięczników angielskich, "Dziennik oficera sztabu", 6 egzemplarzy "Men Only", H. C. Armstrong: "Grey Wolf" i 1 egzemplarz "Nowej Polski".

Dnia 13 lipca, w czwartek o godz. 7.15 wieczorem odbędzie się w Klubie "Białego Orła"

WIECZÓR AUTORSKI

BEATY OBERTYŃSKIEJ

Będą czytali:

autorka / wiersze dawne i nowe/, Tola Korian /poemat "O Braciach Mroźnych"/, Józef Opieński /fragment powieści "Faustyna"/.

Słowo wstępne wygłosi Tymon Terlecki.

Wstęp wolny.

Na "paczki od serca": £3,398

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu Money Order VG.65736 na sumę £32.4.5 /trzydzieści dwa funty, cztery szylingi, pięć pensów/ uzyskaną ze zbiórek w czasie przedstawień programu "Piąty Front" na terenie Szkocji.

Kwotę tę złożyli i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

1.28.VI. Komenda Uzupełnień, Obóz Rozdzielczy £10.19.4
2.29.VI. . . . Kurs Wyższej Szkoły Wojennej, Kolonia polska WP. £14. 3.1
3.30.VI. Dywizjon Rozpoznawczy Ziemi Czerwieńskiej .... £ 7. 2.

Razem £32. 4.5

Pragniemy podkreślić, że akcja zbiórkowa cieszy się w dalszym ciągu niesłabnącym poparciem zarówno żołnierzy jak i polskiej ludności cywilnej na terenie Szkocji. Wszystkim ofiarodawcom składamy raz jeszcze serdeczne wyrazy uznania i podziękowania.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

* * *

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu Money Order TT 29496 na sumę £18 /osiemnaście funtów/ uzyskaną ze zbiórki w czasie przedstawienia "Na powrotnej fali" w południowej Anglii.

Kwotę tę złożyli i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi Polowego Portu Lotniczego Nr. 131.

Korzystamy ze sposobności, aby wszystkim ofiarodawcom złożyć raz jeszcze serdeczne podziękowanie i wyrazy szczerego uznania za ich wypróbowaną hojność na ten cel.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

N.N. na paczkę od serca według załączonego adresu, sh.9.3.

* * *

Przesyłamy £1 /jeden funt/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech, zamiast prezentu dla p. K.

podof. piloci: Adam S.
Jarosław W.
Marian N.

* * *

Załączamy money order na sumę £2.3.0 /słownie: £ dwa, sh. trzy/ celem przekazania ich na paczki od serca.

Z poważaniem

sierż. T.
podchor. K. Ryszard
podchor. K. Zdzisław,
plut. M. Edward

* * *

Załączając P.O. na £1.1.0 na Fundusz Jeńców Wojennych w Niemczech — jako przekazaną nam część dochodu z zabawy tanecznej urządzonej przez Morton Auxiliary Hospital Association — proszę o ogłoszenie ofiary.

ppor. P.M.

* * *

W załączeniu przesyłam money order na sumę £30 /trzydzieści funtów/ na paczki dla jeńców. Na sumę powyższą składa się dochód ze sklepiku z Gospody Lotnika w N.

Z poważaniem

Maria Aleksandrowicz, świetliczarka

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £84.17.8 /słownie: osiemdziesiąt cztery funty, siedemnaście szylingów i osiem pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,398.14.4 /słownie: trzy tysiące trzysta dziewięćdziesiąt osiem funtów, czternaście szylingów i cztery pensy/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

POSZUKIWANIE

Poszukuje się STANISŁAWA ŚWIESZCZA urodzonego w dniu 20 lipca 1903 r., b. urzędnika Banku Rolnego we Lwowie, zamieszkałego tamże na Stryjskiej nr. 36. Aresztowany we Lwowie 22 marca 1940 r., umieszczony we więzieniu na ul. Jachowicza we Lwowie. W dniu 15 maja 1941 r. wyprowadzony i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Według przypuszczenia został umieszczony w więzieniu w Brygitkach lub na Zamarstynowie we Lwowie.

Wszystkie osoby mogące udzielić dalszych informacji uprasza się najusilniej o niezwłoczne kierowanie ich do Redakcji "Polski Walczącej".

KOMUNIKAT

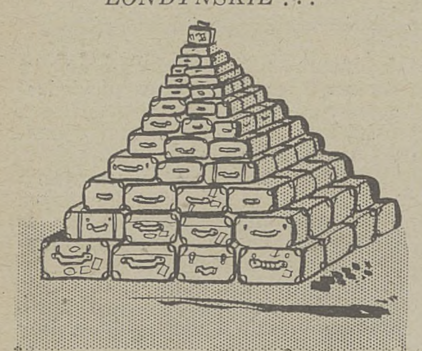
Jak największy udział Polaków w każdym ruchu wolnościowym, a więc i w poczynaniach Klubu Federalnego Czesko-Polsko-Słowackiego, może przyczynić się walnie do powodzenia wielkiej wspólnej sprawy wolności i sprawiedliwości oraz wygrania pokoju.

Sekretariat Klubu: p. J. Prídavok, 7, Wilton Crescent, London, S.W.1, wtorki i czwartki od 11-ej do 12-ej. Przewidywane najbliższe odczyty: 6 i 13 lipca.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NASZE WZGÓRZE LONDYŃSKIE . . .



. . Monte Valiza

SPRYTNY DŁUŻNIK

—Drogi, kochany panie, dłużej już nie myślę czekać. Po raz ostatni zapytuję, czy odda mi pan ten dług, czy nie?

—Nie! Czy pan nie wie, że wszystkie długi zostały skreślone po 3 czerwca 1940! . . .

POLITYCY

—A ja panu mówię, że ten Hitler jeszcze coś wymyśli!

—No co takiego?

—Pokój totalny! . . .

AKTUALNA BAJKA ARABSKA

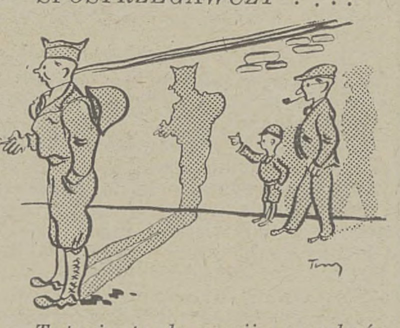
—Panie — woła zatrwożony sługa do swego pana — spotkałem na mieście Śmierć. Węszy za mną! Błagam Cię daj mi konia, chcę uciec do Damaszku!

W chwilę potem wyszedł na miasto pan.

—Dlaczego straszysz mi służbę — zapytał Śmierć. — Dlaczego chodzisz za moim służącym?

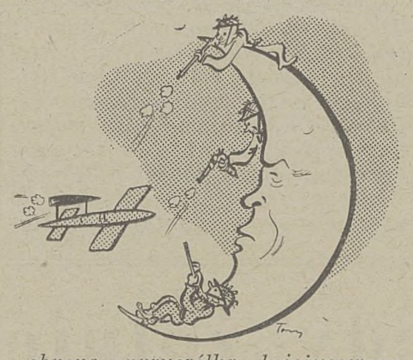
—Ja? — odparła Śmierć. — Nic podobnego. Ja mam z nim spotkanie dopiero za godzinę w Damaszku! . . .

"SPOSTRZEGAWCZY"! . . .



—Tatusiu to do armii amerykańskiej biorą też żołnierzy z garbami? . . .

JAK MAŁY STAŚ WYOBRAŻA SOBIE . . .



obronę przyczółka księżycowego przed "szybotłukami" . . .

RECEPTA NA CZASIE

—Wie pan, że ten doktór Rubensiewicz to wspaniały lekarz. Nie mogłem zasnąć w ostatnich dniach i wie pan pułkownik, co mi doradził?

—No, no, bardzo mnie to interesuje!

—Kazał mi się rozbierać, później kłaść się do łóżka, gasić światło i wolno zamykać oczy.

—No i co?

—Usnąłem!

NA TEMAT WYSPY

Angielka do oficera amerykańskiego:

—Zazdroszczę wam tego uśmiechu i tej pogody ducha. Jesteście zawsze uśmiechnięci i weseli. W czym tkwi tajemnica?

—Ponieważ my po wojnie pojedziemy do Ameryki, a wy musicie pozostać na tej wyspie i dlatego się cieszymy . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Dla tych wszystkich, którzy oparli się epidemii nieuczenia się angielskiego, cytujemy w oryginale wyjątek z poematu poetki amerykańskiej Alice Duer Miller:

I am American bred.
I have seen much to hate here — much to forgive,
But in a world where England is finished and dead
I do not wish to live.

Może który z żołnierzy poetów pokusi się o przetłumaczenie powyższych strof, aby zrozumieli je także ci, którzy choć najwięcej źdźbeł widzą w angielskim oku — po czteroletnim pobycie w Anglii wciąż jeszcze nie znają angielskiego.

/d/

* * *

Dla przestrogi nieostrożnym rodakom, podajemy przygodę jaka przydarzyła się Żeromskiemu w Paryżu.

Gdy stał raz w ogonku przy kasie "*Comédie Française*" usłyszał nagle, że dwie panie stojące tuż obok rozmawiają po polsku. "Tak się wzruszyłem słysząc mowę ojczystą na paryskim bruku" — opowiadał potem Żeromski — "że bezwiednie przysunąłem się nieco bliżej i uśmiechnąłem się przyjaźnie. Na to jedna z pań powiedziała do drugiej wskazując oczami na mnie: — Popatrz Zosiu, jak ten Pochroń na nas patrzy".

/d/

* * *

"Kocham pracę! Fascynuje mnie! Mogę siedzieć godzinami i przypatrywać się jak ludzie pracują" — powiedział pewien urzędnik państwowy.

/d/

AUTENTYCZNE

Angielka: — Nie uwierzycie mi, jak strasznie męczę się z tym polskim majorem. Do dnia dzisiejszego jeszcze nie nauczył się po angielsku. W sobotę jadę z nim na "week-end", ale nie wiem co z nim będę robiła w dzień!

NAJNOWSZY SPOSÓB PODDAWANIA SIĘ NIEMCÓW . . .



for "Victory" . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

SPIS RZECZY:

KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września br.

Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej, studiującej w szkołach brytyjskich; korzystać z niego może również młodzież, znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii. Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego dostarcza uczestnikom materiału lekcyjnego z religii, języka polskiego, historii Polski i geografii Polski w zakresie gimnazjum.

W nowym roku szkolnym, 1944/45, będą prowadzone dwa kursy:

1/ dla nowozgłoszonych,

2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozsyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teatching by Correspondence, 61, Hillhead Street, Glasgow, W.2.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

Poszukuje się: Romana Józefa OLINKIEWICZA ur. 1917 r. w Przemyślu, syna Jakuba i Mieczysławy z Sikorskich, podchorążego czynnej służby Lekkiej Artylerii z Torunia, który 20 września 1939 r. dostał się do niewoli rosyjskiej i przebywał w obozie jeńców w Starobielsku. Do dnia 1 kwietnia 1940 r. pisywał regularnie do rodziny — ostatnia wiadomość była od niego z datą 1 marca 1940 r. Od czasu tego wszelki słuch o nim zaginął.

Wszystkie osoby, któreby mogły dać jakiekolwiek informacje, proszone są gorąco o skierowanie ich do Redakcji "Polski Walczącej".

Wszyscy wojskowi, którzy przebywali we wspomnianym obozie w Starobielsku, specjalnie są proszeni o wyczerpujące wiadomości.

* * *

Poszukiwani: Abraham i Inda PELIZ /z domu Baschkin, ur. w Kamieńcu Litewskim/ oraz ich troje dzieci. Ostatni adres: Białystok, ul. Dzika 3.

Uprasza się wszelkie wiadomości kierować do: Lowenheim, 136, Hatherley Ct., Hatherley Grove, London, W.2.